ŚWIAT i ŻYCIE

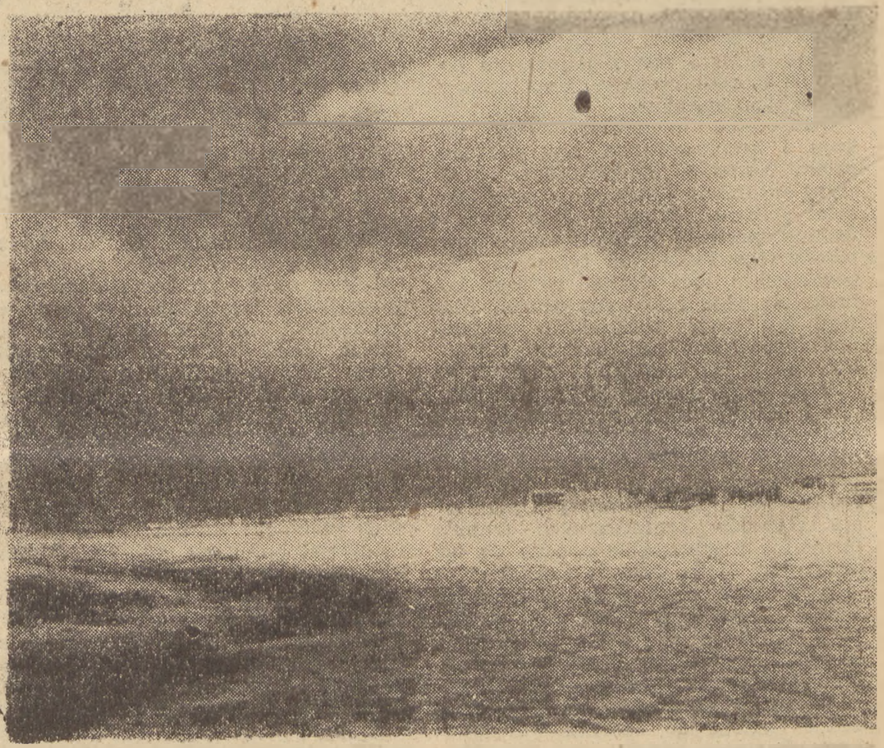
Ilustrowany dodatek tygodniowy
»DZIENNIKA ZACHODNIEGO«

Nr 5

Katowice, 2 lutego 1947 roku * Rok 2



GDYNIA w okowach lodu



Gdynia — najmłodsze miasto Polski, wyczarowane z piaszczystych wydm nadmorskich zbiorowym wysiłkiem całego narodu, otrzymała ostatnio „Krzyż Grunwaldu" za bohaterską postawę swych mieszkańców w stosunku do okupanta w czasie wielkiej próby wojennej.

Malutka, nieznana nikomu wioska rybacka na Wybrzeżu, liczyła przed 25 laty zaledwie 1.000 mieszkańców. Rozrosła się jednak w iście amerykańskim tempie i przed ośmiu laty była już stutysięcznym, nowoczesnym miastem i najnowocześniejszym portem na całym Bałtyku, przez który szła na eksport ogromna część naszej produkcji krajowej.

Z wojennej pożogi samo miasto wyszło prawie nietknięte, poważnie natomiast ucierpiał port, który cofający się Niemcy celowo zniszczyli.

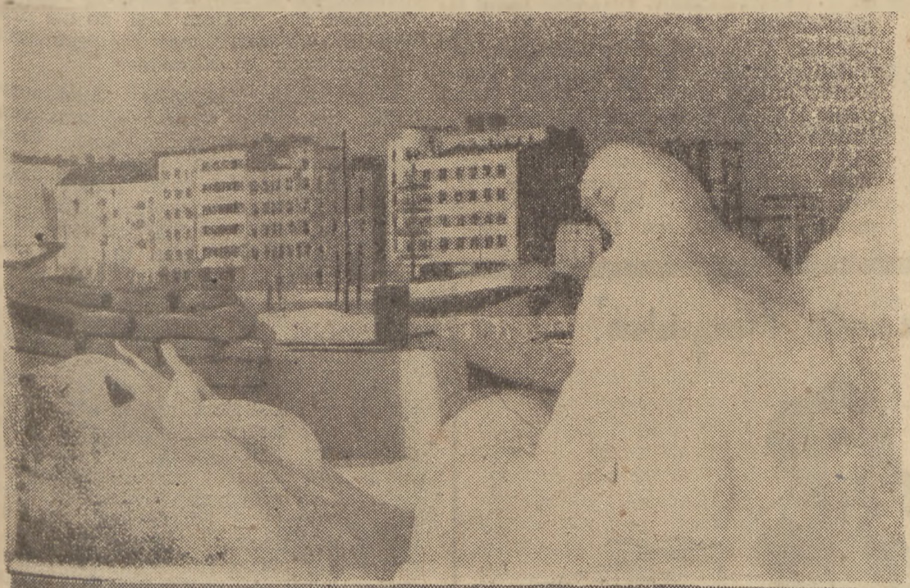
Podruzgotane dźwigi i urządzenia portowe, powysadzane falochrony, pozatapiane w basenach wraki statków — to wszystko szkody, których usunięcie będzie wymagało jeszcze dużo czasu. Praca już wre, bo na Wybrzeżu nikt nie próżnuje. Odbudowuje się magazyny i dźwigi, wyciąga się statki z dna morskiego, naprawia nabrzeża, 3-letni Plan Odbudowy kraju przewiduje poważne kredyty na dalsze prace, które stworzą z Gdyni port wzorowy — perłę całego naszego Wybrzeża.

W tym roku nad całym Wybrzeżem rozszalała się ostra zima, jakiej nie pamięta się tu od lat. Woda w basenach i u brzegów morza ścięła się w grubą warstwę lodu pokrytego śnieżnym całunem. Fantastyczne widoki roztaczają się naokół, widoki jakby żywcem wyjęte z przedziwnej bajki o Królu Mrozie. Bielą się obwieszone potężnymi soplami lodu resztki porozsadzanych przez wroga falochronów, jak czarodziejski most wyglądają łamacze fal. Biel lodowej powłoki zlewa się na horyzoncie w idealną całość z szarością nieba, rozświetlanego błyskami białych skrzydeł wiecznie polatujących mew.

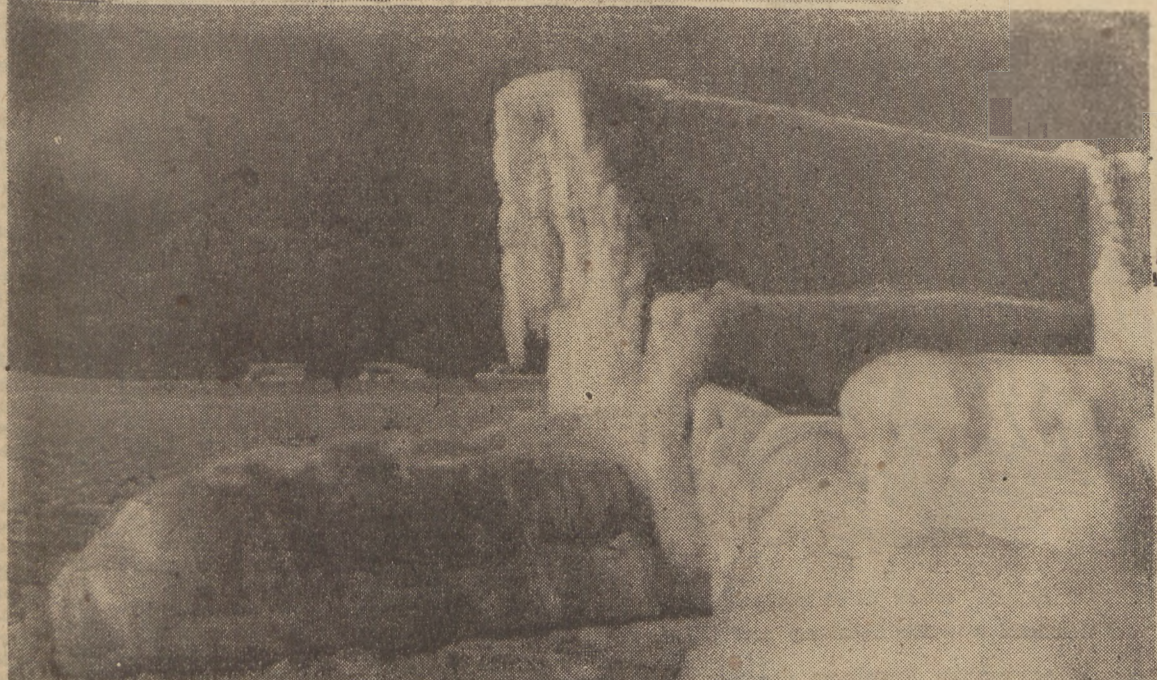
Ale w tej przeogromnej bieli, w tym skostnieniu lodowym nie ma martwoty. Tu zawsze tętni życie. Przy nabrzeżach skrzypią dźwigi. Z chrzęstem i hurkotem sypie się węgiel w rozwarte łapczywie brzuchy statków szwedzkich, duńskich, amerykańskich, fińskich i holenderskich. Do magazynów zwozi się masy przywiezionych przez nie towarów, które stąd pójdą na cały kraj.

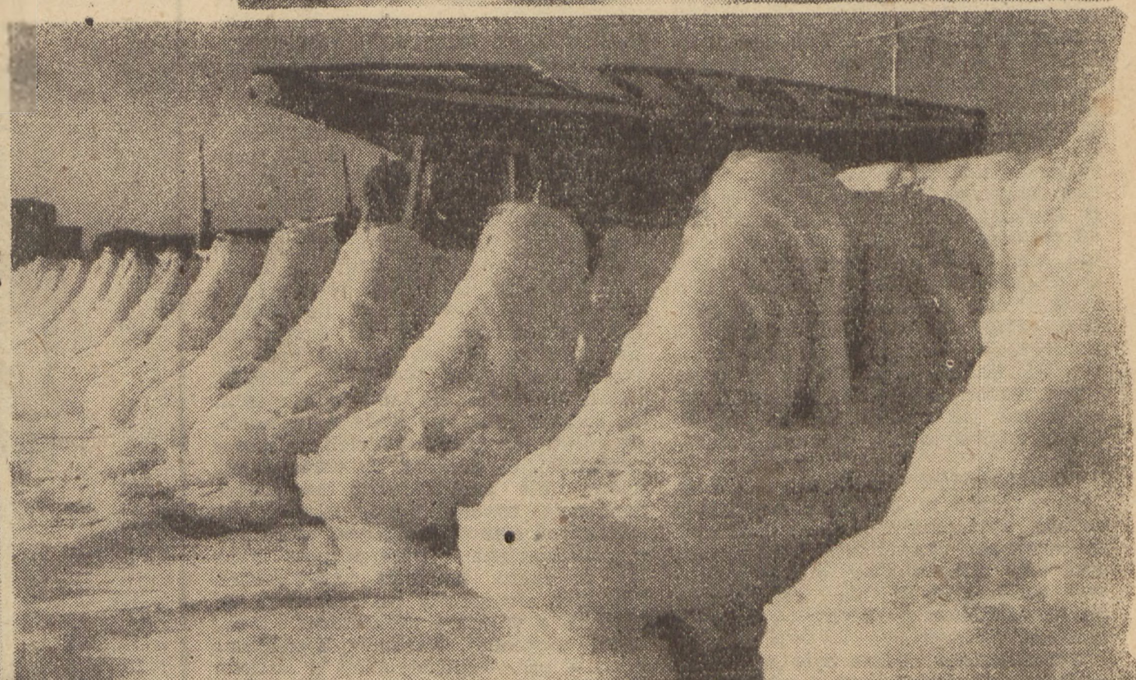
Silne kadłuby łamaczy lodów orzą szerokie bruzdy w powłoce lodowej. Bruzdami tymi płyną na morze ciężko ładowne statki i wypływające na połów kutry rybackie.

Pod śnieżnym całunem, pod grubą powłoką lodową Gdynia nie zamarła, lecz tętni życiem i pracą dla dobra całego kraju.









Marek St. Korowicz

Na drodze do zabezpieczenia pokoju

III.

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Potężna organizacja międzynarodowa pod nazwą „Narody Zjednoczone" została założona. Karta Narodów Zjednoczonych składa się z 111 artykułów w tekście głównym i z 70 artykułów w statucie Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, przewidzianego jako główny organ sądowy Narodów Zjednoczonych. Przypominamy, że Pakt Ligi Narodów obejmował tylko 26 artykułów, a statut Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej, przejęty teraz niemal bez zmian do Karty, stanowił osobny instrument prawno-międzynarodowy, do Paktu Ligi zatem nie należący.

Wstęp Karty, a później jej art. 1 i 2. określają cel organizacji Narodów Zjednoczonych. Mowa więc tam o decyzji ochronienia następnych pokoleń od klęski wojny i podtrzymania wiary w zasadnicze prawa człowieka, w godność i wartość istoty ludzkiej, w równouprawnienie mężczyzn i kobiet oraz narodów dużych i małych. Zapewnione mają być warunki utrzymania sprawiedliwości i poszanowania zobowiązań, wynikających z traktatów i innych źródeł prawa międzynarodowego. Popieranym ma być postęp społeczny i podniesienie poziomu życia. Narody Zjednoczone zobowiązują się stosować tolerancję i współżyć ze sobą w pokoju, jako dobrzy sąsiedzi, zjednoczyć swe siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, aby siła zbrojna była używana tylko we wspólnym interesie. Instytucje międzynarodowe mają służyć popieraniu postępu gospodarczego i społecznego wszystkich narodów.

Utrzymanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa jest głównym celem Narodów Zjednoczonych, przy czym autorowie Karty zdają sobie głęboko sprawę, iż nie jest to kwestia techniki prawnej i że nie można problemu tego regulować tylko na jego powierzchni, lecz sięgnąć do jego korzeni, do jego życiowych źródeł. Dlatego tak silnie podkreślono konieczność rozwijania przyjaznych stosunków pomiędzy narodami, opartych na poszanowaniu zasady równouprawnienia i samostanowienia narodów, oraz konieczność współdziałania międzynarodowego przy rozwiązywaniu zagadnień natury gospodarczej, społecznej, kulturalnej i humanitarnej. Organizacja Narodów Zjednoczonych szanuje formalnie przywiązanie państw do ich odrębności i ich ambicje samodzielności politycznej: opiera się ona „na zasadzie suwerennej równości wszystkich członków". Wyraźnie zastrzeżono, że żadne postanowienie Karty nie upoważnia Narodów Zjednoczonych do interwencji w sprawach, które z istoty swojej należą do zakresu wewnętrznego działania państw, ani nie zobowiązuje członków do poddawania takich spraw załatwieniu na podstawie Karty. Nie dotyczy to oczywiście zastosowania ewentualnych środków przymusu przeciw gwałcicielowi Karty, w przypadkach przez nią przewidzianych.

W szkicu niniejszym nie możemy przeprowadzić analizy prawnej tekstu Karty ani wchodzić w jej szczegóły.

Najogólniej tylko wypada się przyjrzeć Karcie, aby stwierdzić, czy powołana przez nią do życia organizacja międzynarodowa stanowi postęp w stosunku do Ligi Narodów i czy na drodze wysiłków ku pacyfikacji świata jest jednym z końcowych już etapów.

Kwestię **stosunku sił**, a z nimi i wpływów w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, stawia Karta w sposób **uczciwszy**, bardziej życiowy niż Pakt Ligi. W nauce prawa narodów powszechnym jest przekonanie, iż nierówność faktyczna państw musi pociągnąć za sobą odpowiednie konsekwencje w ich udziale w organizacji społeczności międzynarodowej. Wszystkie państwa są równe wobec prawa międzynarodowego i równe bezwzględnie w indywidualnych stosunkach z innymi państwami, nie można jednak uznać równości ich praw w dziedzinie kierowania wspólną organizacją, gdy tak bardzo różnią się między sobą, obszarem, ludnością, bogactwem zasobów, organizacji i pracy. Państwa były dawniej silnie przywiązane do **fikcji równości**, bojąc się ekscesów uznanej nierówności. Suwerenność państw w klasycznym ujęciu, wymagała i równości prawa, i jednomyślności wszystkich uczestników międzynarodowych konferencji i organizacji. Najlepsze wysiłki Haskich Konferencji Pokojowych rozbiły się o zasadę jednomyślności, tak jak i wiele innych projektów o doniosłym dla ludzkości znaczeniu.

Liga Narodów uczyniła nieśmiały krok naprzód w kierunku zerwania z zasadą, sprzeczną z życiem. Głównym mocarstwom zagwarantowano w Radzie Ligi miejsca stałe, a pewnej ilości zmieniających się periodycznie państw średnich i małych — miejsca niestałe.

Zgromadzenie ogólne było natomiast ciałem „demokratycznym", gdzie wszyscy członkowie byli na równi reprezentowani. Atoli, pod naciskiem państw mniejszych i Rada „demokratyzowała się" stopniowo przez dopuszczenie do niej coraz większej liczby członków niestałych, która to liczba z czterech urosła w 1933 r. już do dziesięciu, pozostawiając wielkie mocarstwa w całkowitej mniejszości.

Była to oczywiście tylko fikcja równości, bo całe grupy państw mniejszych działały wiernie pod zakulisowymi dyktatami mocarstw. Te ostatnie zresztą, znalazłszy się w Radzie w mniejszości, usuwały sprzed forum Ligi najważniejsze problemy polityczne, aby je załatwiać, **poza** Ligą, we własnym swym gronie. I z tych względów autorytet Ligi słabł coraz szybciej.

Liga Narodów przestrzegała w swym Pakcie zasady jednomyślności (z nielicznymi wyjątkami) zarówno w rezolucjach in merito Rady, jak Zgromadzenia. Karta Narodów Zjednoczonych zrywa natomiast poważnie z tradycyjnymi zasadami prawa narodów w tej mierze. Postanowienie o suwerennej „równości wszystkich swych członków", jako zasadzie, na której Organizacja się opiera, należy rozumieć w sensie bezwzględnej równości prawnej i praw wszystkich członków pomiędzy sobą. Równość ta nie obejmuje atoli sytuacji państw w łonie samej Organizacji i ich wpływu na jej kierownictwo. Inaczej zbyt jaskrawą byłaby kontradykcja pomiędzy ową deklaracją równości, a wyraźną, w Karcie zastrzeżoną, preponderencją w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych pięciu wielkich mocarstw.

*

Głównym organem kierowniczym nowej organizacji jest **Rada Bezpieczeństwa**, złożona z przedstawicieli pięciu głównych mocarstw, jako jej stałych członków i sześciu członków niestałych, wybieranych przez Zgromadzenie Ogólne na dwa lata. Członkowie niestali mają zatem przewagę ilościową nad stałymi, ale wagą swego głosu ci ostatni górują całkowicie. Tu dotykamy głośnej w publicystyce sprawy **veta** wielkich mocarstw. Decyzje Rady Bezpieczeństwa wymagają, w sprawach proceduralnych, siedmiu głosów obojętnie jakich członków. Ale wszystkie inne decyzje wymagają, aby wśród siedmiu głosów większości, znajdowały się głosy wszystkich pięciu mocarstw — członków stałych.

W systemie paktu Ligi Narodów każdy członek Rady lub Zgromadzenia miał prawo veta co do projektowanych rezolucji; głosując przeciw, uniemożliwiał powzięcie rezolucji. W Karcie Narodów Zjednoczonych przewidziano dla wszystkich uchwał Zgromadzenia większość głosów zwykłą lub kwalifikowaną, wbrew tradycyjnemu prawu narodów. Lecz wola żadnego z przegłosowanych państw nie jest gwałcona, ze stanowiska prawnego, ponieważ, podpisując Kartę, zgodziło się ono z góry (mocą swej suwerennej woli) na takie właśnie decydowanie o sprawach społeczności międzynarodowej. W Radzie Bezpieczeństwa obowiązuje również zasada większości głosów z poprawką co do jednomyślności członków stałych.

Rada Bezpieczeństwa jest organem wykonawczym Organizacji. Aby zapewnić szybką i skuteczną akcję Zjednoczonych Narodów — mówi art. 24 — członkowie nakładają na Radę Bezpieczeństwa bezpośrednią odpowiedzialność za utrzymanie międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa i uznają, że Rada ta, spełniając swe obowiązki z tytułu powyższej odpowiedzialności, działa z ich ramienia. Członkowie Narodów Zednoczonych godzą się przyjmować i wykonywać decyzje Rady Bezpieczeństwa zgodnie z Kartą (art. 26). Jest zatem Rada i wykonawcą, i generalnym pełnomocnikiem członków Organizacji. W jej łonie jednak właściwym organem wykonawczym jest piątka wielkich mocarstw. Na niej ciąży materialny i prawny obowiązek strzeżenia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego i stosowania, w przeważnej mierze, sankcji przeciw gwałcicielowi pokoju.

Pięć mocarstw, stali członkowie Rady Bezpieczeństwa, są głównym egzekutorem decyzji Rady. I tak np. przewidziano w Karcie (art. 45) Wojskowy Komitet Sztabowy w celu udzielania Radzie Bezpieczeństwa rady i pomocy we wszystkich sprawach, dotyczących wymagań wojskowych Rady dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, używania i dowództwa sił, postawionych do tej dyspozycji, normowania zbrojeń i ewentualnego rozbrojenia. **Ten Wojskowy Komitet Sztabowy składa się zaś z szefów sztabu, stałych członków Rady Bezpieczeństwa lub ich przedstawicieli. Jeszcze wyraźniej, co prawda na okres przejściowy (ale przejściowość ma zawsze tendencje trwałości), określone jest szczególne stanowisko pięciu mocarstw w postanowieniu, które porucza tylko im, do czasu zawarcia odpowiednich układów, obowiązek porozumienia się ze sobą, a w miarę okoliczności i z innymi członkami Narodów Zjednoczonych w celu wspólnej akcji w imieniu Organizacji, akcji, która byłaby konieczną dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa.**

W drodze **prawa veta** mocarstwa zabezpieczają się przeciw narzuceniu im ewentualnego obowiązku jakiejś akcji, w szczególności zbrojnej, sprzecznej z ich poczuciem słuszności lub bezpośrednim interesem. Ponieważ one właśnie mają, z racji swych sił, ponosić główny ciężar ofiar ewentualnej wojny przeciw gwałcicielowi Karty, bronią się przeciw dysponowaniu ich siłami zbrojnymi przez inne państwa wbrew ich interesowi. Jest to przykład najskrajniejszy. Mocarstwa są jednak zainteresowane w każdym sporze i każdej „sytuacji", dzielących inne państwa, średnie i małe. I tu właśnie, w obronie swych długofalowych interesów, mocarstwa pragną mieć do swej dyspozycji prawo veta.

Zasadniczego znaczenia jest w tych warunkach postanowienie Karty, iż prawo veta nie służy państwu, zaangażowanemu bezpośrednio w sporze z innym państwem. W takim przypadku nie posiada ono prawa głosu, bo nie może być sędzią w swej własnej sprawie. Nie dotyczy to t. zw. „sytuacji", które mogą prowadzić do tarcia międzynarodowego lub wywołać spór. W tych przypadkach bowiem, zainteresowane mocarstwo może, przy zaleceniu czy decyzji, wstrzymać się od głosowania. Prasa i publicystyka, opierając się na dotychczasowej praktyce w Organizacji, przedstawiają sam akt veta, jako zawsze czynną manifestację woli zainteresowanego członka stałego Rady Bezpieczeństwa. Tymczasem wola jego manifestować się może równie dobrze i zaniechaniem. Skoro mianowicie do każdej merytorycznej uchwały Rady konieczne są **„głosy przytwierdzające"** wszystkich członków stałych, brak jednego z nich (por. art. 27/3) uniemożliwia powzięcie uchwały. Veto jest zatem głosowaniem przeciw lub wstrzymaniem się od głosowania.

Rzecz jasna, że owa instytucja veto może uniemożliwić niemal całość prac Rady Bezpieczeństwa, bo veto wystąpić może wszędzie tam, gdzie Rada uchwala, zaleca, decyduje, z wyjątkiem sporów, o których wyżej była mowa. Tu raz jeszcze występuje konieczność dobrej wiary, w znaczeniu lojalności i dobrej woli w wykonywaniu zaciągniętego zobowiązania.

Prawo veta nie staje na przeszkodzie przeprowadzeniu dyskusji nad sprawą sporną w łonie Rady i przedstawieniu w ten sposób, z wielkim rozgłosem, opinii świata problem, o który chodzi. Nie przeszkadza ono również, rzecz oczywista, zajęciu się tą samą kwestią sporną, która spadła z porządku dziennego Rady Bezpieczeństwa, wskutek użycia veta, przez Zgromadzenie Ogólne.

Członkowie niestali Rady Bezpieczeństwa, przedstawiciele państw średnich i małych, nie są jednak całkowicie „podporządkowani „wielkiej piątce". Przeciwnie, teoretycznie rzeczy te biorąc, mogliby oni uniemożliwić każdą decyzję Rady, za której powzięciem opowiedzieliby się wszyscy członkowie stali, bo przecież do każdej decyzji potrzebną jest większość siedmiu głosów. Obok „wielkiej piątki" głosować muszą zatem „przytwierdzająco" jeszcze dwaj niestali członkowie Rady.

Organizacja społeczności międzynarodowej, o ile ma funkcjonować z pożytkiem dla pokoju świata, musi należycie respektować w swym łonie proporcję wpływów swych członków w zależności od ich materialnego i moralnego wkładu do organizacji. Nie można żądać od wielkich mocarstw tak dalece posuniętego idealizmu, aby godziły się na absolutną, w ramach organizacji międzynarodowej, równość z małymi państewkami o liczbie ludności np. kilkadziesiątkroć mniejszej od ich ludności, zwłaszcza o ile w podobnej proporcji pozostają siły ekonomiczne. Tylko pluralność głosów wydaje się obecnie właściwym rozwiązaniem problemu. Każde państwo posiadałoby w decydowaniu o wspólnych sprawach organizacji międzynarodowej ilość głosów, która by, wychodząc z jedności, jako podstawowego minimum, była proporcjonalną do liczby jego ludności, siły ekonomicznej etc. Siła ekonomiczna mogłaby być obliczana na zasadzie przyjętych umownie kryteriów i współczynników, jak przeciętna produkcja roczna przemysłu, górnictwa, wysokość bilansów handlowych itd.

*

Karta Narodów Zjednoczonych łączy doskonale dwie tendencje w usiłowaniach pacyfikacji świata, o jakich już była mowa, tj. gwarantowania bezpieczeństwa świata w drodze paktów powszechnych, względnie tylko regionalnych. Organizacja jest sama instytucją uniwersalnego bezpieczeństwa, ale nie sprzeciwia się w niczym zawieraniu paktów regionalnych, o ile ich działalność da się pogodzić z celami i zasadami Narodów Zjednoczonych. Karta domaga się nawet od członków, zawierających porozumienia regionalne, dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, aby w tej drodze dążyły do pokojowej likwidacji sporów przed oddaniem ich pod ewentualne rozpatrzenie Rady Bezpieczeństwa. Rada może też korzystać z tych związków regionalnych w akcji stosowania przymusu ekonomicznego lub zbrojnego przeciw gwałcicielowi zobowiązań międzynarodowych i pokoju.

Znacznie większy niż w Pakcie Ligi Narodów, położono w Karcie Narodów Zjednoczonych nacisk na „stworzenie warunków stabilizacji i dobrobytu, które konieczne są dla pokojowych i przyjacielskich stosunków między narodami" (art. 55). Narody Zjednoczone mają więc popierać wyższą stopę życiową, pełne zatrudnienie i warunki gospodarczego i społecznego rozwoju. Mają popierać rozwiązywanie międzynarodowych zagadnień gospodarczych, społecznych, zdrowia i pokrewnych i międzynarodowe współdziałanie kulturalne i wychowawcze. Będą one wreszcie popierać powszechne poszanowanie i przestrzeganie praw człowieka i zasadniczych praw wolnościowych wszystkich ludzi bez różnicy rasy, płci, języka lub wyznania. Międzynarodowemu **współdziałaniu gospodarczemu i społecznemu** poświęca Karta aż dwa rozdziały i 18 artykułów, kładąc, jakże słuszny, nacisk na uprzedzanie konfliktów międzynarodowych przez usuwanie ich przyczyn u samych podstaw. Radzie gospodarczo-społecznej przypada, w ramach Organizacji, nader doniosłe zadanie w tej dziedzinie, w którego wykonywaniu korzystać będzie mogła z doświadczeń i pomocy Międzynarodowego Biura Pracy, tak istotnie zasłużonego w kolaboracji z Ligą Narodów, oraz innych instytucji międzynarodowych, poświęconych zagadnieniom organizacji pracy, higieny, kultury, wychowania itd.

Międzynarodowy system **powiernictw** przewidziany w Karcie, zastąpić ma system dotychczasowych mandatów Ligi, które wraz z Ligą prawnie wygasły. Szczegółowe przepisy trzech rozdziałów Karty mają za cel zapewnić ze strony członków Organizacji, ponoszących lub przyjmujących odpowiedzialność za administrację terytoriów, których ludy nie osiągnęły jeszcze pełni samowładności, uznanie szeregu zasad. Naczelną spośród tych zasad jest, że interesy mieszkańców terytoriów powierniczych stoją na pierwszym miejscu, a świętym powiernictwem jest obowiązek popierania, w najszerszej możliwie mierze, dobrobytu tych mieszkańców. Rada powiernictw, jako jeden z głównych organów Narodów Zjednoczonych, powołana jest do wykonywania lub stania na straży wykonania tych przepisów mających, wobec konkurencji wielkich imperiów, wielkie znaczenie dla pokoju świata.

Organem administracyjno-wykonawczym jest potężnie rozbudowany sekretariat Organizacji, którego kierownikowi, sekretarzowi generalnemu, zwanemu w publicystyce, metaforycznie „premierem międzynarodowym", przysługują nader ważne kompetencje nieadministracyjnej natury, jak np. zwracanie uwagi Radzie Bezpieczeństwa na każdą sprawę, która, jego zdaniem, może zagrozić utrzymaniu międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa.

Kompetencje Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości pozostały bez zmian w stosunku do statutu Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej, który przestał istnieć wraz z Ligą Narodów.

*

Głównym celem Ligi Narodów była organizacja społeczności międzynarodowej i pacyfikacja świata. Ten sam jest cel Narodów Zjednoczonych. W Pakcie Ligi Narodów wiele było „szczelin" (jak je zwano w literaturze), przez które wojna mogła legalnie wciskać się do jego systemu gwarancji pokoju. Pod tym względem Karta Narodów Zjednoczonych, mimo licznych w niej niejasności, a nawet sprzeczności, ma nad Paktem Ligi stanowczą przewagę. Narody Zjednoczone są organizacją bez porównania mocniej, bardziej życiowo skonstruowaną. Wady Organizacji są liczne, wśród nich możliwość rozkładowo funkcjonującego prawa veta, oraz możliwość pozostawania poza nią państw, które nie są lub nie chcą być do niej dopuszczonymi. W tej drugiej kwestii, Karta zawiera zresztą również wyższość nad Paktem Ligi, bo nie przewiduje własnowolnego występowania z Organizacji jej członków.

Organizacja Narodów Zjednoczonych ma silną władzę wykonawczą, której Liga była pozbawioną. Rada Bezpieczeństwa ma prawo decyzji, większością głosów (plus prawo veta) o najważniejszych sprawach, łączących się z bezpieczeństwem i pokojem międzynarodowym. Decyzje te są zaopatrzone w sankcje wykonalności, przybierające, w najdrastyczniejszych wypadkach, formę represji ekonomicznych, zerwania stosunków dyplomatycznych, wreszcie akcji zbrojnej sił lotniczych, lądowych i morskich. Sankcje te, co ważniejsza, nie są uzależnione od wyniku długich debat w łonie Organizacji i ustalania, czy nastąpił „casus assistentiae", czy „casus foederis", jak to było przewidywane w różnych ligowych projektach paktów wzajemnej pomocy. Organizacja Narodów Zjednoczonych ma swój organ wykonawczy i sankcyjny w zespole stałych członków Rady Bezpieczeństwa, których armie, do czasu przysposobienia innych, są zbrojnym jej ramieniem.

Powstał więc w naszych oczach, nieznany w dziejach ludzkości, potężny związek międzynarodowy, konfederacja państw, mająca swą wspólną władzę ustawodawczą, swoje sądownictwo, do którego odwoływać się muszą obowiązkowo członkowie, o ile w innej drodze nie mogli załatwić dzielących ich sporów, wreszcie posiadającą silną władzę wykonawczą, Radę Bezpieczeństwa, działającą w permanencji. **Prawo międzynarodowe w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, jest pełnym systemem prawa, jest sankcjonowane użyciem przymusu wobec przestępcy. Oto w rozwoju prawa narodów zwrot przełomowy.**

Trudności Organizacji politycznej natury są wielkie, trzeba dla ich rozwiązania znaleźć formułę najprzód w życiu, później w prawie. Ale narody muszą we własnym interesie wytężyć wszystkie siły, aby wady i braki, istniejące w systemie tego Związku Międzynarodowego, usunąć i w pełni wcielić w życie jego ideał zapewnienia światu pokoju, a narodom bytowania i rozwoju w bezpieczeństwie i wolności.



„Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziemy my!"

Szła kolumna demonstrantów. Regularne czwórki, młode zacięte twarze... (str. 252)

(0) 448

Roman Horoszkiewicz

Z przeszłości Ziemi Opolskiej



Zamek w Opolu „na wyspie" z XVIII. wieku

U progu historii Opola spotykamy przede wszystkim dokumentarne świadectwo istnienia jego w IX wieku. Mówił bowiem o tym t. zw. „Geograf Bawarski" (opis krajów położonych na północ od Dunaju zestawiony pod koniec IX wieku). Z czterech wyliczonych przezeń plemion słowiańskich, (Ślęzanie, Dziadoszanie, Opolanie i Gołężyce), największym było plemię Opolan, liczące „20 civitates" (miejscowości, miast?), którego stolicą było Opole.

Istniało jednak Opole i dawniej i było warownym grodem. Stwierdzają to wykopaliska. W roku mianowicie 1930, przy burzeniu i przebudowywaniu zamku „na pasiece" — w Opolu, odkryto całe miasto z przedhistorycznych czasów.

Już samo położenie tego warownego grodu, leżącego na prawym brzegu Odry, wskazuje na nastawienie obronne od nieprzyjaciół z zachodu. Dopiero później, urządzenia obronne przeniesiono i na lewy brzeg, budując zamek „na górce".

Najstarszą warownię opolską trudno nazywać zamkiem. Był to typowy słowiański „gród". Znamy takich grodów na Górnym Śląsku kilka: grodziska Lubnik i Katówka (w odległości około 10 km od Raciborza), Woźniki (w pow. lublinieckim), Kochłowice (w pow. katowickim) itd. Żaden z nich równać się nie może z Opolem, które można porównywać tylko ze słynnym, o przeszło tysiąc lat starszym Biskupinem.

Planowe położenie przedhistorycznej warowni opolskiej wskazuje na wysoką kulturę naszych przodków, jego budowniczych. Miasto całe gęsto zabudowane i składające się z 400 domów, otaczał wał i fosa. Wał był drewniany, budowany z kłód skrzyżowanych, pokrytych gliną. Po bokach tego umocnienia stały rzędy słupów pionowych. Całe umocnienie uległo trzykrotnie pożarowi, może w czasie walk. Żałować należy, że nie znamy konstrukcji bramy, ani wież, ani też umocnień szczytu wału.

Prawdopodobnym jest, że gród ten przetrwał do XII—XIII wieku, na co wskazują niektóre znalezione przedmioty. Możliwe zaś, że równocześnie od X wieku istniało już i osiedle na lewym brzegu, skupiające się wokół późniejszego kościoła św. Krzyża, „na górce".

To miejsce znowu owiane jest i legendą o pobycie tutaj św. Wojciecha († 997), który miał tu założyć kaplicę N. P. Marii.

Za Bolesława Chrobrego istniała w Opolu kasztelania, a więc musiał być tu i zamek kasztelański. Kilku badaczy (R. Jakimowicz i inni) twierdzi, że zamek Bolesławowski znajdował się „na górce". Ochraniał on w ten sposób miasto, położone na wyspie „na pasiece". Mielibyśmy więc już od X w. obwarowane osiedle „na wyspie" („pasiece") i zamek „na górce".

Przez następne 200 lat prawie, głucho o Opolu w dziejach.

Z końcem XII wieku dopiero powstaje osobne księstwo Opolskie. Czy w Opolu miał stolicę pierwszy jego władca, Jarosław, syn Bolesława Wysokiego, nie wiadomo. Nie rezydował tutaj również i Mieszko I. Plątonogi, który Opole przyłączył do swojego księstwa Raciborskiego. Syn jego i następca książę Kazimierz I jednak zamieszkał w Opolu i on to uczynił je prawdziwą stolicą swej dynastii.

Z roku 1222 mamy już pewne dane o istnieniu w Opolu prawdziwego zamku kasztelańskiego.

Miasto w tym czasie przeniosło się na lewy brzeg i rozbudowało wokół kościoła parafialnego i zamku „na górce". Książę Kazimierz I postanowił całe Opole otoczyć murem i utworzyć widocznie jeszcze komplet obronny z miasta i zamku, na lewym brzegu i osiedla na prawym. W dokumencie z r. 1228 nakazuje książę podjęcie odpowiednich prac, przeznaczając na pokrycie połowy z nich, dochody z 2 wsi książęcych. Drugą połowę kosztów miał ponieść wojewoda Klemens.

Mamy także i nazwisko kasztelana Opolskiego z owych czasów; był nim Zbrosław. Wojewoda Klemens, zięć Zbrosława, na pewno należał do możnego, krakowskiego rodu Gryfitów, kasztelan Zbrosław, możliwe że był również Gryfitą, a może Toporczykiem.

Na ścisłe związki Opola z Krakowem w owym czasie, wskazuje jeszcze i dokument z r. 1260. Wojewoda Klemens mianowicie otrzymał od księcia Kazimierza w r. 1228, Niemodlin, z obowiązkiem przyczynienia się do wspomnianego już fortyfikowania Opola. Darowiznę tę przeniósł wojewoda na klasztor SS. Benedyktynek w Staniątkach pod Krakowem. W r. 1260 zaś, książę Władysław II uwolnił klasztor od obowiązku budowy 1000 łokci muru na zamku w Opolu i przejął w związku z tym, Niemodlin z powrotem.

Nowe obfitsze dane o zamkach w Opolu mamy dopiero z XIV wieku. W dokumencie mianowicie z 1307 r. książę Bolesław I mówi wyraźnie o poświęceniu kaplicy „odnowionej" na zamku opolskim. W 1336 r. mamy wymienionego starostę opolskiego Andrzeja, nazywanego (dicto) „Schramme".

Od tego czasu zresztą znamy już szereg starostów i burgrabiów zamkowych. Byli nimi w r. 1337 Jaśko Grutka, pisany też Grucha (może Gruszka?), w r. 1363 Jakusz de Campa (z Kępy), r. 1375 Mikołaj Bochenek itd.

W r. 1378 kasztelanem jest Dobek ze Zlinicz. W roku 1386 wymienionych jest 2 starostów: Wiktor de Merticz (de Mersicz) i Ramfold Stosz — może jeden był na jednym zamku, a drugi — na drugim?

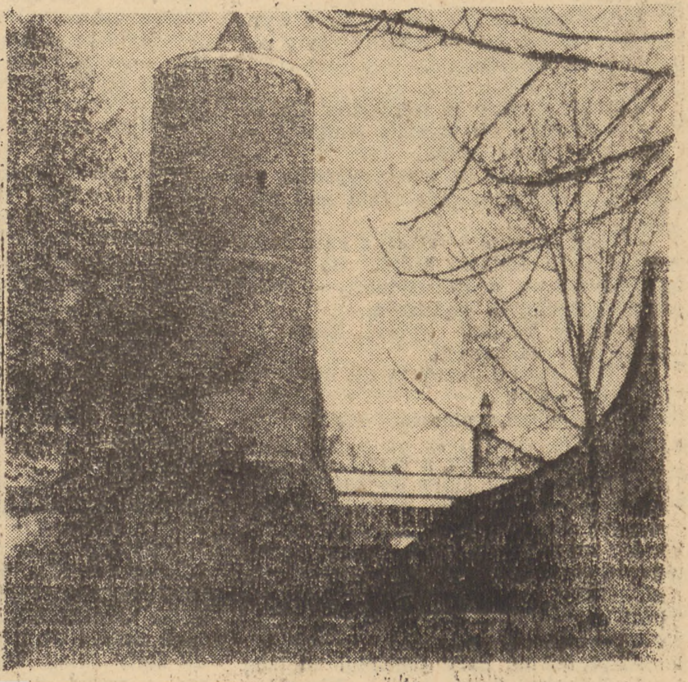
W r. 1387 wyraźnie po raz pierwszy wymieniony jest zamek „nowy", jako miejsce wystawiania dokumentów. Jako świadek figuruje starosta zamkowy wspomniany już Wiktor de Mersicz. Istnieją więc w tym czasie dwa zamki w Opolu: „na górce" i „na pasiece". Rozrodzona rodzina książęca zamieszkiwała oba. Zamek jednak na wyspie, jako większy był właściwą siedzibą władcy.

W tym to zamku zmarł 1532 r. ostatni Piast Opolski — książę Jan Dobry.

Gdy nie stało książąt stale mieszkających na zamku, tenże bardzo podupadł. W r. 1564 porysowały się mury, wskutek usunięcia się fundamentów. W 1615 r. wielki pożar zniszczył większą



Baszta i resztki muru piastowskiego „na górce" (dzisiaj ul. Gosławicka, I. Gimnazjum)



Wieża piastowska w Opolu, na tle gmachu starostwa

część budynku. Odnowiono go, ale znowu uległ znacznym zniszczeniom w czasie wojny 30-letniej.

W r. 1645 król polski Władysław IV, jako książę opolski, kazał sporządzić opis zamku. Bardzo smutno on wypadł. „W dolnej części jest komnata sklepiona, bardzo niebezpiecznie uszkodzona, na pierwszym piętrze grożą dwie sklepione komnaty zawaleniem się, kamienie tak wystają, że zdaje się, jakoby lada chwila spaść miały. Na drugim piętrze z 3 izb i 6 alkierzy cztery tak zrujnowane, że mieszkać w nich nie można, także sufit w jednej izbie całkiem jest zepsuty i opada w kilku miejscach. W całym budynku mury są porysowane. Stary budynek ku południowi tak opustoszał, że zielsko w nim rośnie. Jest tam izba, którą zwą izbą ziemską; tę chciał starosta krajowy odnowić, ale mur zapadł się. Podwoje są także znacznie uszkodzone i porysowane od dołu do góry i zwieszają się ku przekopowi.

Obok głównego budynku, są stajnie wprawdzie nowe, ale bardzo liche i nie sklepione. Spichlerz i przytykająca do niego izba z alkierzem zapadły się. Mur okalający zamek i podtrzymujące go słupy są w bardzo złym stanie, a studnia w podwórzu całkiem zepsuta. Także podmurowanie przekopu popsuło się, a kryty ganek na wale zmurszał i porósł krzakami"*).

W tak wyglądającym zamku nie mógł zamieszkać król Jan Kazimierz, gdy 9. XII. 1635 r. przybył do Opola. Została tu więc tylko część dworu i kancelaria królewska, królestwo oboje udali się do Głogówka, do pałacu hr. Oppersdorffa.

Tymczasem i zamek „na górce" stał się również ruiną. W r. 1669 cesarz Leopold I darował go OO. Jezuitom, którzy urządzili w nim kaplicę. Resztki murów i wieża włączone zostały w kompleks budynków klasztornych. Tymczasem zamek na wyspie jeszcze raz został nawiedzony pożarem w r. 1739. Odrestaurowano go znowu i za czasów pruskich mieści się w nim regencja opolska.

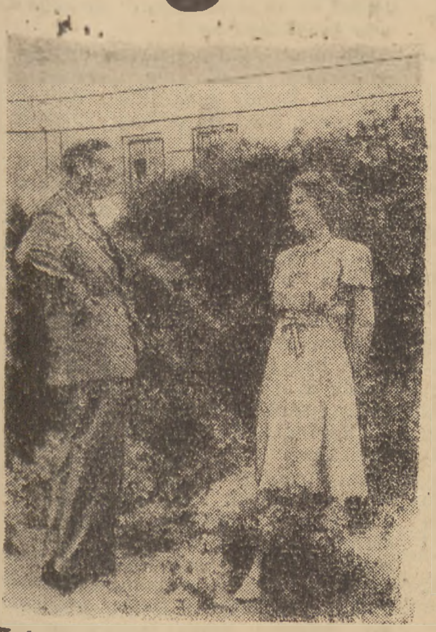
Minęło znowu przeszło 150 lat, gdy Niemcy chcąc ostatecznie zniszczyć wszelkie pamiątki polskie, — stary piastowski zamek zburzyli w r. 1930. Przy kopaniach jednak pod fundamenty nowego gmachu ukazało się spod ziemi prastare osiedle sprzed 1200 lat, — dając świadectwo polskiej tutejszej przeszłości. Uczeni niemieccy, zorientowawszy się co do ważności przypadkowego odkrycia, nie przeprowadzili celowo dokładniejszych, dalszych badań. Resztki i ślady osiedla zostały zasypane, na starych polskich popiołach stanął nowoczesny, ponury, brzydki gmach niemiecki.

Po polskich zamkach Opola pozostały tylko, jako niemi świadkowie — dwie wieże piastowskie. Jedna prawie zupełnie zasłonięta przez budynek I Gimnazjum (przy ul. Gosławickiej), jako pozostałość po zamku „na górce", druga — przebudowana i pozbawiona swego właściwego charakteru — ogólnie znana, wieża przy gmachu starostwa, — resztka zamku na wyspie „na pasiece"

*) Wiktor Sońskí: „Z przeszłości Śląska". Bytom 1889, część II, str. 74—75.

Angielskie zmartwienia

Czy powtórzy się historia księcia Walii i p. Simpson?



Król angielski, wraz z najstarszą swą córką, księżniczką Elżbietą, w parku królewskiego pałacu

Ani bomba atomowa, ani sygnały z Marsa, ani sprawa traktatu pokojowego z Niemcami, ani też inne wielkie problemy tego świata, nie zajmują dziś tak umysłów Brytyjczyków, jak ... małżeństwo księżniczki Elżbiety. Wydawało by się, że w okresie, w którym na wyspach brytyjskich ludność wyraźnie przestawia się na lewo, co dokumentuje zwycięstwo Labour Party w wyborach, nacjonalizacja kopalń węgla itp. — popularność rodziny królewskiej powinna stracić na sile.

Tymczasem tak nie jest. Pisma angielskie wszystkich odcieni — od skrajnie lewicowych do skrajnie prawicowych — niemal codziennie przynoszą wiadomości o tym, że: „księżniczka Elżbieta była na premierze tego a tego filmu", że „księżniczka Elżbieta przetańczyła całą noc na balu urządzanym przez taką czy inną instytucję", czy też, że „księżniczka Elżbieta dokonała otwarcia wystawy"... itp. itp. Oczywiście przy tym wszystkim podane są dokładne dane co do tego, jak była uczesana, jaką miała suknię, z kim tańczyła, no i kto był jej „escort" towarzyszem-partnerem.

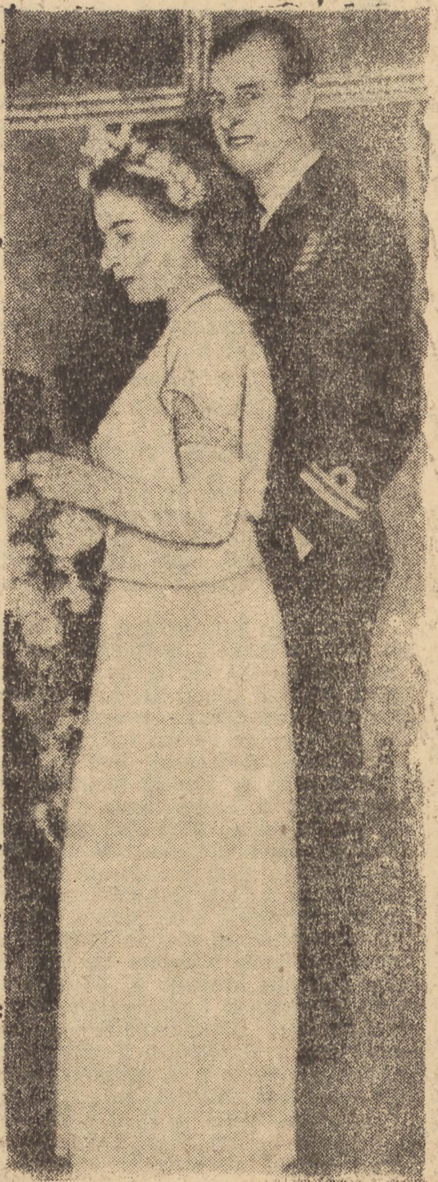
Ten ostatni szczegół w obecnej chwili budzi największe zainteresowanie. Księżniczka Elżbieta jest bowiem — jak się to mówi — „na wydaniu". Kto będzie wybrańcem księżniczki Elżbiety? Dwór dba i pilnuje skrupulatnie, aby każdy z takich młodych „escorts" przebywał w towarzystwie Elżbiety tylko raz. Chodzi przy tym o to, aby zapobiec jakimkolwiek plotkom, oraz okazjom do powstania jakichś głębszych więzów uczuciowych między księżniczką a takim panem do towarzystwa. Według niepisanego kodeksu uświęconego jednak tradycją kilkuset lat, każdy kto miał zaszczyt być towarzyszem księżniczki, musi nazajutrz po „tańcówce" zgłosić się do „Buckingham Palace" — do zamku królewskiego po zwrot wydatków, poniesionych uprzedniego wieczoru na balu. Ten sam bowiem nie pisany kodeks przewiduje, że członkom rodziny królewskiej nie wolno bawić się na obcy koszt.

Ale pomimo tych wszystkich środków ostrożności księżniczka Elżbieta zakochała się. Coraz uporczywiej krążą w Wielkiej Brytanii pogłoski, iż księżniczka dokonała już wyboru i że przyszłym małżonkiem królowej W. Brytanii, czyli t. zw. „Prince consort" będzie książę

(Dokończenie na str. 5)



Księżniczka Elżbieta na [illegible] balu tańczy sz[illegible] taniec narodowy



Księżniczka Elżbieta na przyjęciu ślubnym swej damy dworu, w towarzystwie księcia Filipa greckiego

Rafał Malczewski

Dziwne przygody Ksawerego Czułka

Wietrzna opowieść

Nowelka ta ukazała się w druku w roku 1925, w książce „Narciarstwo polskie" wydanej przez zarząd główny Polskiego Związku Narciarskiego w Krakowie.

Z obmarzłych rękawic, zawieszonych na sznurku, kapią raz po raz krople roztajałego śniegu. Na kuchennym piecyku smażą się i skwierczą dziwnie smakowite frykasy, drażniące nozdrze rozwalonym na pryczach, zgłodniałych narciarzy.

Jeden spośród nas zerwał się z wyrka i wykrzyknął: — Aleśmy narty zostawili na dworze!

— No to co!?

— Któż pójdzie je przynieść? Co do mnie bowiem, nie miejcie złudzeń! — krzyknął chudy Janek.

— Prędzej mi tu włosy wyrosną — wołał, potrząsając gołą piętą nad stołem.

— Aha, mądryś — rzucił z kąta Józef — Pośpiesz no tam który, bo wiatr powywraca, a śnieg zasypie — dodał kręcąc spokojnie papierosa.

— To ty Władek wyłaź! Masz jeszcze buty na nogach.

— Nie widzisz idioto, że nie mam koszuli na sobie?

— No to co, plecami stąpasz? Z „cukruś"?

Spod pieca ruszył z wolna nasz kochany towarzysz, stary wyjadacz i jeździec pierwszej klasy, fanatyczny wyznawca Bilgerego, technik znakomity, który czterdziestą którąś zimę spędzał wśród śniegów, nawisów i lawin, a postawiwszy dziobami w dół hickorową parę nart na podłodze, otwarł drzwi. Po drodze schował monokl.

Kłąb zimnej pary gruchnął na izbę.

— Zamykaj drzwi, tee! — Bilgeri!

Starego już nie było.

I ja ruszyłem za nim, grad wyzwisk, miast podziękowań, posypał się za mną.

Wspaniałe były to chłopy ci moi towarzysze. Narciarz w narciarza, szczere kompany, serca złote, tylko pyski wyparzone. Nie uznawali fok, tylko sześćdziesiąt gatunków smarów, o nazwach trudnych do wymówienia, przysięgali na Huitfeldy, a jeździli jak sam stary Bergendal.

W progu już przywitała nas wściekła zadymka, uderzyła w usta i zaparła dech. Wiatr miotał z dachu garście kłujących igieł. Wpadliśmy aż po pas w sypką zaspę. W czarnej nocy huczał nieustannie bór. Niewidzialne smreki skrzypiały, ocierając się konarami szczytów.

Oblepiła nas ciemność i zamróz. Tylko tam, gdzie maleńkie okienko rzucało długi graniastosłup światła, śnieg wpadając z ukosa wił się jak opętane gwiazdy, skrzącymi zygzakami. — Po omacku wyrwaliśmy narty z zasp i strzepnąwszy rzucili w kąt małej drewutni. Po kwadransie walki z kurniawą wróciliśmy do wnętrza, przemarzli i oślepieni. Olodzone rzęsy ciążyły w dół.

Okrutny ryk powitał nas u progu.

— Mógłbyś się byku jeden z drugim oczyścić przed drzwiami!

— Całujcie nas w nos — krzyknąłem.

— Nanieśliście chyba centnar śniegu!

Mój towarzysz przymknął lewe oko i zgrzytnął:

— Och bydlaki! — a herbatę to macie dla nas!? — He! — Dawaj smyku — rzucił rozkaz Włodkowi, który nagi, z wersalską elegancją, podał mu cebrzyczek aluminiowy, pełen mocnej herbaty.

Zawrzała rozkoszna, jedyna rozmowa schroniska... Upał wzrastał niemiłosiernie. Jeden, to drugi dorzucał drzewa do pieca, huczącego jak stukonny motor. Z opalonych twarzy ściekał pot i lepił zjeżone włosy. Byliśmy nikłą oazą ciepła i przytulności. Tuż za ścianą z płazów utkanych niedbale mchem, grzmiała zawieja jak organy. Zajadły wicher, obmiatał węgły schroniska. Ostre knipy syczały po gładziznach okrąglaków, siekły w zapocone okienko, gwizdały w czeluściach zasp. Hen za oceanem lecącej kurniawy, Błyszcz i Bystra, Ornak i Kamienista obrastały w pierzaste nawisy, a potężne ich boki polerował orkan na nieugiętą szreń.

Pojadano uczciwie; niejeden jeszcze dogryzał ochłap mięsa szumnie nazwany „beefsteakiem" u smażony w aluminiowej pokrywce, niejednemu tłuszcz spływał po nieogolonej brodzie. Tam popijali herbatę, ów wcinał kompot z puszki, plując celnie pestkami pod odległy piecyk. Zwolna ustępowała praca zmęczonych żuchw. Na zagraconym tapczanie zabłysły papierosy i fajki. Worek pod głowę a nogi na belkę pod pułapem, to cudowna pozycja wypoczynku, by wypędzić zmęczenie ze spracowanych ud. Lampka naftowa ledwo dychała, w kłębach dzikich zapachów, obłokach dymu tytoniowego, falach żaru bijącego od czerwonego piecyka.

Ktoś uchylił lufcik. Piotr Tellerbruch, osobnik z monoklem, mruknąwszy wpierw coś z pogardą, zagadnął niedbale:

— Wiecie wy cepry, czemu ja poszedłem po wasze deski? He?! — Chłopta się! Myślicie, że dla waszych pięknych oczu? He, He! — zachichotał rad i pyknął kłębem dymu.

Może wam to opowiedzieć! — Co?! — spytał po chwili. — Opowiadaj! opowiadaj! — ryknęliśmy chórem — wietrząc jakąś ciekawą przygodę z morałem na końcu.

Tellerbruch wtarabanił się na tapczan i wyciągnąwszy z kieszeni cieńki drucik, począł owijać nadpęknięty bambus. Raz po raz łyskał srebrny krążek talerzyka.

— Było to chyba dwadzieścia lat temu — rozpoczął Piotr — gdy całą paczką wybraliśmy się na wielki Sonnblick w Taurach.

— 3.100 metrów — rzucił ktoś z boku.

— Mógłbyś milczeć erudyto, — żachnął się i ciągnął dalej:

— Dzień był podejrzany, z grani okolicznych szczytów zrywał wzrastający wiatr białe płachty pyłu. Nadchodził föhn, gwałtownie niebieszczały lasy po dolinach a odległe przedtem wierzchołki, wyrastały tuż przed nami. Opowiadam, byście wiedzieli chłopaczki — a ty tam nie mlaskaj w kącie, bo cię kijem wyłoję, — zwrócił się nagle do chudego Janka, wylizującego coś żarłocznie z olbrzymiej puchy.

— Pokonawszy stromy żleb i minąwszy zwaliska dawnej kopalni srebra, wkroczyliśmy na zasypany gładko i bezpiecznie lodowiec. Była to już połowa marca. Z wesołym rykiem walimy w górę. O którejś godzinie osiągamy „Rojacherhütte". Niektórzy odpięli deski i wbili tuż u progu w twardy zbity śnieg. Weszliśmy do schroniska, a raczej małej budki. Przy zażeraniu się wewnątrz, dotyle zapomnieliśmy o bożym świecie, żeśmy nie czuli drżenia ni poświstów wichru. Dopiero po wyjściu spostrzegliśmy rozpętaną burzę. Widok, albo raczej brak wszelkiego widoku zjeżył nam włosy. Kurniawa co się zowie wyła koło nas. Byliśmy jak w wirującym mleku. Z wbitych w śnieg nart ni śladu, zwalone kułakiem huraganu, poszły w dół. Już ich nigdy nie oglądali prawi właściciele. Takiego to figla wyprawił nam föhn.

— No, a powrót? — przerwał jeden z niecierpliwszych.

— Poczekałbyś duszko! — jadowicie syknął technik, — potem złapał zębami jeden koniec drucika, by mocniej dociągnąć, następnie do końca zakręcił w plecionkę i zagiął, a włożywszy monokl oglądnął uważnie. Po chwili rzucił od niechcenia: — Powrót?! — Phi! — Ano złazili coś dziesięć godzin, brnąc po pas w zaspach i czołgając się ze zmęczenia. Zupełnie spuchnięci dotarli do dolnego schroniska. Dzierżawca, stary przewodnik, ryczał ze śmiechu, kpiąc niemiłosiernie, tak, że omało go nie nabili. Wesołą noc spędziliśmy grzejąc się przy wielkim ceglanym piecu, popijając musujące jak szampan wino.

— Dla was to nauka cepry! — zakończył — szanować sprzęt narciarski! — I ty byś jeden z drugim leniu, kopał w śniegu deski gdyby nie ja!

— A możeś ty Piotrusiu, też lazł na czworakach, przyznaj się, — zaczepił go jakiś zuchwalec.

Zagrzmiał wesoły śmiech.

— Dlatego też boi się o swoje hickorowe łopaty!

— Ażebyś wiedział, że się boję!

Potężny dech wichru przewiał przez powałę, mokry świeży pył. Zadygotało wątłe schronisko, zatrzeszczały wiązania dachu i krokwie dźwignięte wzwyż. Gdy zacichł pęd, belki ciężko osiadły z ogromnym hałasem. Zakopciła lampka.

Z ciemnego kąta pryczy, spod szarego koca, dźwignęła się niepozorna postać. Małe oczka zaświeciły tajemniczo spoza grubych szkieł. Był to nasz nowy znajomy, przygodny towarzysz. Spotkaliśmy go w restauracji w dolinie Kościeliskiej, siedzącego nad mapami, zapatrzonego w finezję rysunku; gdy nas spostrzegł, złożył mapy i zbliżywszy się do naszej gromadki spytał, czy mógłby nam towarzyszyć w wycieczce na Pyszną; jeździ już dawno i nieźle jak mówią, a Tatry zna dokładnie. Nazwisko wymówił niewyraźnie. Później już dowiedziałem się, że nazywał się nieco komicznie Ksawery Czułek. Niezbyt ochotnie przyjęto go do towarzystwa. Skromność i nieśmiałość, a poza tym szczere „wyrypiarstwo" i znajomość gór u Ksawerego Czułka, pogodziła nas prędko z tą pokraczną nieco postacią, tym bardziej, że po przybyciu do schroniska zawinął się w koc i drzemał do tej pory. Tak się nam przynajmniej zdawało.

— Jeżeli panowie pozwolicie, to opowiem wam przygodę, której byłem uczestnikiem, a która na zawsze utkwiła mi w pamięci!

— Prosimy — bąknął ten i ów patrząc nieufnie na szarą twarz. Czułek zapalił papierosa jak automat i oparłszy łysą głowę na kościstej chudej dłoni, pochylił się, iż na ścianę wypełzł ogromny cień.

— Nie tak znowu dawno, zaczął, jak wycieczka pana Tellerbrucha, spotkała mnie ta przygoda. Było to w styczniu 1912 roku. Z moim stałym wówczas towarzyszem, inżynierem Aleksandrem Drętwą, (którego w kilka miesięcy później pożarła lawina na Matterhornie) wybrałem się na Halę Gąsienicową. Przez kilka poprzednich dni sypał wielkimi płatami gęsty śnieg. Rano tego dnia rozjaśniło się niebo u szczytu i jakby spod różowego klosza dźwignęły się jarzące Tatry. Wspaniała okiść uginała szerokie spławy smreków, gdyśmy sankami jechali do Kuźnic. Bez fok, z trudem i mozołem brnęliśmy przez zasypany biały las Boczania, w głębokiej ciszy rozmiatając deskami lotny puch. Pąsowy zachód płonął na Magórze, gdym, omijając zdradliwe zbocza Kopy Królowej, zakładał ślad wprost na szczyt. Tam gdzie prowadzi ścieżka, czyhała lawina.

Zerwał się przedwieczorny wiatr i zacierał szybko jedyny ślad, rzucony przez nas w nieskazitelny nalot puchu. Minąwszy karczmisko Drętwa ruszył strzałą wprost na szałasy, a ja odczekawszy, cicho spłynąłem w dół w odsypanej bruździe. Gdyśmy podchodzili do zasypanego schroniska, ze Żółtej Turni wschodził ogromny księżyc. Wbiwszy narty aż po więźbę odwaliłem pokryte twardym nawisem wejście. Po pół godziny uciążliwej pracy wtargnęliśmy do wnętrza.

— Zgaście światło, szkoda nafty — zawołał Tellerbruch, — po ciemku lepiej słuchać. Janek dmuchnął i ciemność zaległa; tylko błysk od pieca biegł po powale, a czerwone ogniki papierosów, dziurawiły i przekreślały ciemność. Po dachu tupotała zawieja.

— Sporo trzeba się namęczyć, by przygotować sobie jaki taki nocleg — ciągnął dalej Czułek — wymieść śnieg, wytrzepać sienniki, jak to zwykle po przyjściu do naszych schronisk w Tatrach. Koło siódmej wieczór, gdy ciepło rozgrzało przemarznięte ciała, a wrząca grochówka i parę rozbratli z ogórkiem dodało ducha, rozpoczęliśmy narady, gdzie się udać na następny dzień. Masy świeżo spadłego śniegu nakazywały ostrożność, ale zbyt wielka była w nas ochota, by zdecydować się na zmarnowanie cennego dnia. Bądź co bądź udamy się do Zmarzłego, tam się rozejrzymy, zadecydowaliśmy. Przed pójściem na spoczynek, wyszedłem przed schronisko. Księżyc tkwił już wysoko. Śnieg błyskał i skrzył się pod stopami. Wiatru za grosz. Po chwili stanął przy mnie Olek; spojrzałem wstecz, nasz ślad był zupełnie zawiany.

— Jutro pewny „halny" — zawyrokował Drętwa i wskazał ręką na Świnicę. Granatowy cień zalewał całą ścianę, tylko u błyszczącego czuba pełzał maleńki chybki obłok. Zdawał się wciąż odlatywać, jednak tkwił na miejscu, otulając srebrną mgłą sam szczyt wierzchołka. Spojrzałem w bok i krzyknąłem:

— Gdzie u licha twoje narty?!

Na olbrzymim nawisie otaczającym dach od zachodu tkwiła tylko jedna para desek.

— Może wiatr je strącił — odparł Drętwa.

Poczęliśmy szukać zawzięcie.

— Psiakrew! może są w środku? — krzyknąłem rozłoszczony, gdy po odwaleniu śniegu i przeszukaniu całego zbocza nie znaleźliśmy nic. Na próżno zrewidowałem wnętrze obu izb. Do lasu spaść nie mogły, byłby pozostał po nich jakikolwiek znak na puszystym śniegu.

— Hej, a to co!? zapytałem, wskazując na świeży głęboki tor, wybiegający spod naszych stóp, by błysnąwszy srebrnym sierpem na przeciwległym zboczu, zgiąć w cieniu Małego Kościelca. Ogarnęło nas zaciekawienie. Pobiegłem i zajrzałem do wszystkich szałasów, by się przekonać, czy przypadkiem z któregoś nie wylazł ów tajemniczy narciarz, od schroniska wstecz ku karczmisku dziewiczość powierzchni była nieskalana. Od Liliowego i Gąsienicowych Stawów ani od cichego lasu poniżej schroniska nie mógł nadejść ów przybysz, gdyż niebieskiej toni nie przekreślała żadna krecha śladu narciarskiego.

— Musiał być w budzie! — wykrzyknął zaciekawiony inżynier.

— W jaki sposób — odparłem — drugi klucz u stróżki na dole. A jednak skądś się wziął...

— No to wytłumacz!

— Phi...

— Wszystko jedno; ale gdzie u diabła moje deski?

— Twoje deski? — Tknęło mnie coś, przykląkłem na śniegu i wbiłem wzrok w uciekający ślad; wystarczył moment, był uzyskał pewność. — To ten drań pożyczył sobie desek od ciebie! Popatrz się — widzisz wygnieciony ząbkowany znak od blaszanego kozika, a tu od odłupanego brzegu narty! — poznajesz chyba!

— Ależ tak, naturalnie — zadziwiający złodziej turysta!

— Kijki zostawił, pomyśl sobie...

— Prawda! — także amator, tak nóżka przy nóżce odjechał, nawet dobranoc nie powiedział!

Zakrawało to na głupi żart, lub poryw entuzjazmu, wyzwolonego potęgą i grozą zimowej górskiej nocy.

Może jakiś zatęchły mieszkaniec dolin, oczarowany niewypowiedzianą jasnością śniegu, gładkością czarnych cieni, pożyczył sobie bez pytania nart, by zajrzeć w głąb gór. Darmo szukaliśmy i krzyczeli. Cóż począć — czekajmy. Wbiliśmy oczy w odległą białą nić, tam gdzie znikała w cień, oczekując rozwiązania zagadki. Nic. W pewnym momencie spytałem:

— Czyś nie słyszał, siedząc w schronisku, jakiegoś głosu lub szelestu?

— Nie — ale wiatr i tak zgłuszyłby głos.

Zimno nie pozwalało czekać. Bezlitosny jasny mróz, przenikał nas i ścinał krew. Księżyc uciekł wysoko i zmalał do cna.

— Chodźmy do izby — zaproponował Drętwa.

— Idź! a ja się za nim kropnę, jak go dopędzę, to pozna chłop co znaczy brać cudze deski!

— Racja, masz wyjeżdżony tor, to się machnij, a ja poczytam, ale wracaj dzisiaj — zażartował. Wszedłem do izby, by wziąć parę papierosów i browning, bądź co bądź dziwnym mi się wydał ów domniemany złodziej. Na łeb nasadziłem kominiarkę.

W tej chwili buchnął kłąb gryzącego dymu na izbę, dom zadygotał od paroksyzmu wichru. Przeciągły gwizd i szum, obiegał węgły i chałupy.

— Do diabła z taką wichurą — splunął Władek.

— Tfy!

— Psa by nie wygnał!

Z ciemności dobiegał głos „Zaraz opowiem dalej, tylko papierosa zapalę". Nikły płomyk zapałki, oświetlił ciemną twarz Ksawerego Czułka. Usta nerwowo wciągnęły pierwszy dym. Po omacku już szukał herbaty. Usłyszeliśmy, że pije. Po chwili mówił dalej:

— Musicie panowie wybaczyć, że opowiadam tak dokładnie, ale każdy szczegół jest ważny do zrozumienia tych dziwnych wypadków, które nastąpiły. Ubrany morowo z kijkami jesionowymi w opatulonych dłoniach, ruszyłem jedynym śladem, krającym światłość śniegów. — Jakby dzisiaj widzę każdy smrek i wszelki szczegół drogi. W nieogarnięty gmach ciszy zjechałem szybko. Potem do góry, między zasypane widma smreków, podkreślone krótkim czarnym cieniem. Prowadziła mnie iskrząca taśma rozgarniętego śniegu. Z kosówek nie wystawały ani czubki gałązek.

Za śladem, idącym wprost wzwyż, nie mogłem iść nie mając fok. Lepniaków wówczas nie znano. Zakosami dotarłem do punktu, skąd ogromnym łukiem zakręcił mój poprzednik, by zjechać w dół na lewo od Kamienia Karłowicza. Strzałą zjechałem w śladzie. Gwizdnął na moment w uszach lodowaty wiatr. Zamróz chwytał coraz większy. Zdało się, że smreki skręcają się w mękach pod obuchem mrozu. Śnieg zgrzytał pod nartą. Wkrótce znalazłem się u stóp Buli Czarnego Stawu. Ślad pobiegł wprost do góry, gdzie migotał wypiętrzoną bruzdą. Zdębiałem! I na fokach lub smarze nie wylezie tak stromo. Z wściekłością ruszyłem zakosami, zapadając się po kolana, spocony i zdyszany wdarłem się na wierzch, by połogim zboczem lekko zjechać na staw.

Jak olbrzymia misa nalana światłem księżyca, przepojona lśnieniem miliardów skier, leżał pode mną, przykryty lodem, Czarny Staw. Ślad skręcał na ukos i teraz, jak czarna kresa, rozrywał nieskazitelny czar puchu. Począłem biec. Nie był to poprawny trójkrok, ale szybkością pewno dorównywałem dzisiejszym wyścigowcom. Zwolna uspokoiło mnie osamotnienie, jakie poczułem. Minęła złość. Od olbrzymów górskich wiał bezlitosny mróz i dzika powaga. Poczułem się beznadziejnie sam. Nieskończenie wysoko płynął księżyc. Daleko wydało mi się schronisko, nie istniejące wprost w tej nieludzkiej ciszy. Zwolniłem tempa, powłócząc nartami; zdawało się, że ktoś tuż przede mną przeszedł śladem, zda się, że grudki śniegu spadały miękko z dopiero co rozoranego śniegu, a jednak jego świeżość i lotność, tłumiła wszelki głos. — Przystanąłem i krzyknąłem co sił. Tylko echo odbite od ścian Kościelca odniosło mój głos. Jeszcze raz krzyknąłem, lecz ciszej, ciszej odpowiedziały krzesanice.

Mrowie przeszło mi przez plecy, ale ruszyłem znowu, brak jakiejkolwiek odpowiedzi przeraził mnie. Wlokłem się dalej, nieufny i zły. Czasem skrzypnęła zmarzła więźba lub zadzwonił trącony talerzyk. Przeciwległy brzeg zbliżył się znacznie. „Do Zmarzłego chyba nie pójdzie" — pomyślałem. Czemu nie, może za Zawrat trzeba będzie go ścigać" — drwi niechętna myśl. Krok mój stał się całkiem wolny i chwiejny. Zmysły przedtem śpiące obudziły się, zapatrzenie w głąb znikło. Zamieniłem się cały we wzrok, czujnym uchem pragnąłem ułowić najlżejszy szmer... Cisza bezdenna napawała mnie wzrastającą trwogą. Spojrzałem na zbocza Granatów — nieopisany spokój. Nie doszedłem jeszcze przeciwnego brzegu, gdy spoza Zamarłej wybiegło stado nabrzmiałych chmur, od wyniosłych grzęd nadbiegł ciepły wiatr i lotny pył, a przez białą płaszczyznę stawu przefrunął pierwszy tuman.

Padł na mnie oczekiwany lęk, począłem biec, krzyczałem, by dodać sobie odwagi. Muszę dognać łotra! — i naraz pojąłem, że jestem szalony! — tak szalony — jak mogę przypuścić tutaj czyjąś żywą obecność! Nie spadł chyba z nieba! — O Boże, pozwól obudzić się z tego przykrego snu!

Wtem w sypkim korytku bruzdy, parę metrów przed sobą ujrzałem narty Drętwy. Leżały spokojnie o dwa metry ode mnie. Ślad się urywał. Dookoła powierzchnia śniegu nietknięta ludzką stopą, powierzchnia, którą by zarysowało skrzydło motyla, tak była świeża, lotna i sypka. Wstrząsnął mną do głębi podły nieopanowany strach! — Uczułem trwogę przed obrotem wstecz. Wolałbym ujrzeć wszystkie ohydy świata, niż tę samotną parę nart. Wszystka krew zbiegła do struchlałego serca. Nie mogłem krzyczeć. Zląkłem się; jaką może być odpowiedź i kto ją wyda! I wtedy z całą złą mocą runął na mnie wiatr i zamącił wszystek świat widzialny. Zakolebał do podstaw huczący wiew. Szaleńczy wir zachwiał mnie, zbielałe usta rzuciły krzyk przeraźliwy. Rzuciłem się wstecz. Głuchy łomot wstrząsnął górami; „spadam w dół" — pomyślałem resztką przytomności. Leżące jak sępy chmury pożarły księżyc, jak czarna chusta spadła ciemność. Widziałem obłąkanymi oczyma lecącą granicę światła, ściganą przez zachłanny mrok. Gwizd „halnego" przeszył mnie na wskroś. W jakiejś chwili ogarnął mnie dziki popłoch, uciekałem krzycząc i wywracając się. Tajemna siła uwiązała mi, u każdej stopy stukilowy ciężar, nogi mdlały z wysiłku, raz po raz padałem na twarz, śnieg wpadał w otwarte usta i dławił krzyczącą krtań! — Zgrabiałymi pazurami wygrzebywałem go z otwartej gęby.

— Zapal no tam, który lampę — przerwał Tellerbruch — muszę zrobić parę papierosów na jutro — mruknął głośno. Z pośpiechem zapalił rudy Janek, podkręcając światło niemiłosiernie w górę. Ujrzałem zaciekawione oczy i rozwarte usta.

Czułek skorzystał z pauzy, by zaciągnąć się świeżym papierosem. Po chwili ciągnął dalej.

— Koziołkując, runąłem po morenie w dół, coś niewidzialnego ścigało mnie. Każdy rzut mokrego śniegu w kark zdał mi się oślizgłą ręką. Nieopisany mąt w mej głowie rozświecały krwawe biczyska strachu. Nie wiem jak i kiedy

(Dokończenie na str. 7-mej)

Lenin na Podhalu

Niedawno minęła rocznica śmierci ojca rewolucji rosyjskiej Lenina. Rocznicy tej prasa polska poświęciła dużo uwagi.

Mało kto wie, iż Lenin przebywał dłuższy czas w Polsce, a w szczególności na Podhalu, w okresie przed pierwszą wojną światową i w pierwszych latach tejże wojny, do czasu ostatecznego wyjazdu do Szwajcarii. Mieszkał dłuższy czas w Poroninie, w pensjonacie miejscowego rzeźnika, Stillera. Szereg starszych gospodarzy poronińskich znało Lenina osobiście i prowadziło z nim niejednokrotnie długie rozmowy. Dość zażyłe stosunki utrzymywał z rodziną gospodarzy śp. Gutów. Bywał częstym gościem w restauracji śp. Orawca, przy dworcu kolejowym w Poroninie i w kawiarniach zakopiańskich. Łączyły go również zażyłe stosunki z literatami polskimi, przebywającymi podówczas w Zakopanem, światem artystycznym i dziennikarzami. Często widywano Lenina w towarzystwie polityków galicyjskich, głównie z PPS. Więzy przyjaźni łączyły go szczególnie z Janem Kasprowiczem, w którego „Harendzie" bywał częstym gościem.

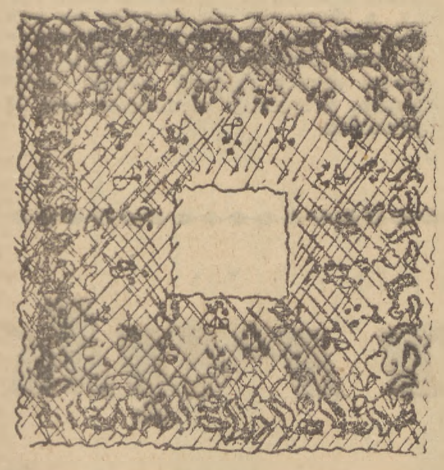
W chwili wybuchu wojny Lenin został aresztowany i osadzony w obozie dla internowanych w Płaszowie. Wyratował go z opresji Kasprowicz, który dużo czasu musiał poświęcić, by wytłumaczyć władzom austriackim bezsensowność tego kroku.

Charakterystycznym jest fakt, iż po powrocie do Rosji i objęciu władzy Lenin polecił przekazać swemu byłemu gospodarzowi, Stillerowi, niewielki dług za mieszkanie i utrzymanie.

Miała różne kształty i nie służyła do nosa



Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, by istotnie tak było. Kto z nas potrafiłby się obejść bez tak koniecznego dodatku, jakim jest... chusteczka do nosa. Płatek białego batystu, obszyty koronką, przytykany dyskretnie do nosa elegantki, by broń Boże, od wycierania zbytnio nie poczerwieniał, lub solidna, kolorowa



Koronka Alençon z końca XVIII wieku

płachta, nierozłącznie związana z pojęciem kataru. A jednak jeszcze stosunkowo niedawno chusteczka była przedmiotem luksusu, wytwornym dopełnieniem stroju i nikt nie odczuwał potrzeby stosowania jej do właściwego, obecnego użytku. Nawet, przeciwnie, wycieranie nosa w chusteczkę uchodziło za prostą nieobyczajność, ignorancję obowiązujących form. Zdarzały się wprawdzie jednostki, które przeczuwając właściwy cel chustki, namawiały do używania jej do nosa, ale były to wypadki sporadyczne, nie wpływające na zmianę użytkowości tego skrawka materii.

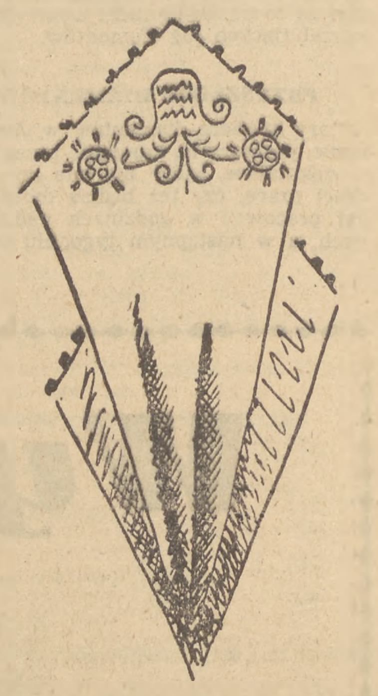
Takim propagatorem chustki był sławny humanista, Erazm z Rotterdamu, który wyśmiewał się ze swego otoczenia, wycierającego nose w końce szat i namawiał do używania w tym celu jako najwłaściwszych — chustek.

PIERWSZE ŚLADY W EGIPCIE

Idąc śladami historii ubiorów, obecną naszą chustkę znaleźć można w Egipcie, w okresie Starego Państwa, a więc na 3.000—2.500 przed narodzeniem Chrystusa. Opasywali nią biodra mężczyźni. Chustkę, o kształcie prostokąta, owijano na biodrach, ściągając paskiem, lub też noszone bardziej ozdobnie — z jednym końcem, sterczącym w kształcie trójkąta na przodzie opaski. Ta ostatnia moda dostępna początkowo tylko dla królów, z czasem przeszła na coraz niższe szczeble orszaku królewskiego. Strojem uroczystym była chustka plisowana z jednego boku i zaokrąglona na przodzie. Chustkę na ramiona narzucali robotnicy, chroniąc się w czasie pracy przed palącymi promieniami słońca, nosili ją naganiacze psów królewskich na polowaniu, chustkę, spiętą na ramionach nosili królowie.



Trzymana z wdziękiem w paluszkach wytwórnej damy, chusteczka jest niezbędnym dodatkiem zdobniczym elegantki z pierwszej połowy XIX wieku.



Chusteczka „współczesna" z białego batystu, ozdobiona haftem o motywach śląskich.

Z czasem w miarę rozwoju cywilizacji nie starczyła już Egipcjanom jedna chustka, w okresie Średniego Państwa (2.160—1.700 lat przed narodzeniem Chrystusa) nosili już dw e, różnej długości, przy czym krótsza noszona była pod spodem.

Wyłącznym przywilejem królów było noszenie chustki na głowie. Chustkę prostokątną, pasiastą, obciskano nad czołem taśmą, ozdabiając klejnotem królewskim z głową węża. Dwa końce chustki ułożone były na ramionach, reszta, ściągnięta taśmą, zwisała na plecach.

PO WIEKACH WE WŁOSZECH

Zmiany, zachodzące stopniowo w ubiorach, czyli jak dziś powiemy — w modzie, usuwają chustkę w cień na długie wieki. Wprawdzie spotykamy ją również w starożytnym Rzymie, ale jest tu niewiele znaczącym drobiazgiem, o którym szybko zapominają.

Zjawia się dopiero w XVIII wieku, od razu w pełni przepychu, z najwspanialszych, najcieńszych materii i koronek, zdobna kunsztownym haftem, przeplatana perłami. Jest nieodzownym uzupełnieniem toalety renesansowej damy. Trzymana z wdziękiem w paluszkach, jest takim samym pięknym cackiem, jak i jej bliski kuzyn — wachlarz. Dodaje wdzięku, wytworności, przypadkiem rozmyślnym zgubiona, spocznie na sercu ukochanego, ale nigdy nie dotknie nosa. Kto by śmiał sprofanować katarem prześliczną mgłę koronki, lub sztywną, złotą nić haftu! Stare portrety renesansowe pań nie mówią, co czyniły damy, gdy nadeszła ta przykra dolegliwość. Może służyły do tego celu paluszki, ozdobione pierścieniami, może końce szat. Nie na darmo przecież mistrz Erazm śmiał się ze współczesnych...



Wspomnienie dawnej chusteczki, z portretu renesansowej damy, spotkać jeszcze możemy w rękach koncertującej śpiewaczki.

PRZYWILEJ SFER WYŻSZYCH

Chusteczka jest coraz droższa i coraz wyszniejsza. By ją posiadać, nie wystarczy już mieć tylko pieniądze. Zazdrosna szlachta, jak wskazują zbiory praw z Drezna i Magdeburga, przeprowadza ustawę, pozwalającą na posiadanie chusteczek tylko klasom wyższym. Nie pochwali się nią nawet najbogatsza mieszczka. Stroi się więc w coraz wymyślniejsze ozdoby i fasony. Jest okrągła, prostokątna, owalna, wielokątna. I dopiero Ludwik XVI specjalnym rozporządzeniem ustalił ostatecznie jej kształt kwadratowy.

Przejdzie nawet do stroju męskiego. Gdzieś w początkach XVIII wieku rozpoczną ówcześni eleganci zawiązywać na szyi miękką chustkę, przechodzącą w koronkowy żabot na przodzie koszuli. Z biegiem lat układ takiej chustki, jej wymiary i barwę obejmą drobiazgowe przepisy. W XIX wieku chustkę (cravatte) najczęściej batystową, długą, owijać należy wielokrotnie dokoła szyi, na wysokim, sterczącym aż do policzków kołnierzu koszuli i wiązać z przodu, pozostawiając miękko opadające, duże końce.

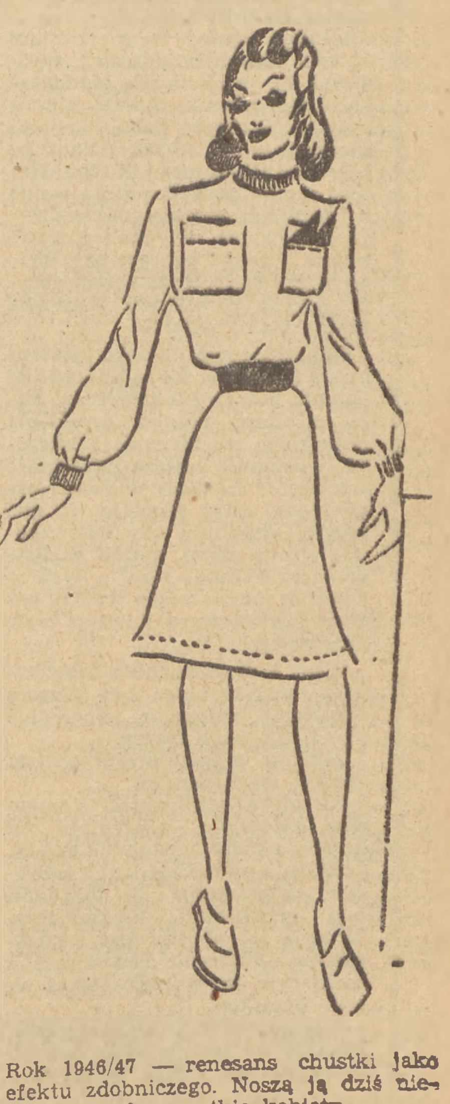
I WSPÓŁCZESNA RZECZYWISTOŚĆ

Przeszły lata sławy, wdzięku próżniaczych przemian, koronek, nizanych perłami. Chustka stała się demokratyczną — służy wszystkim. Była znów przez długi czas pracowicie mereżkowana, zdobiona ząbkami, haftem i monogramami, ostatnie jednak lata, poprzedzające wojnę, odrzuciły męczącą dłubaninę. Subtelne w kolorach i tonacji barw kraty modnych chustek, błyszczących jedwabnym połyskiem prześlicznych zefirów zakasowały swoje haftowane poprzedniczki, już nieomal muzealne okazy.

Jeszcze tylko czasami, ze sceny czy estrady wionie ku nam zapachem przeszłości barwny pas żorżety, gniecionej rękami koncertującej śpiewaczki. Kolorowa szmatka, w takt melodii szarpana, to nasza dobra, ongiś koronkowa znajoma, z dwnych portretów. I tu i tam ułatwia pozycję niezaradnych rąk.

W ostatnich dwóch sezonach chusteczka, w nieustannym swym pochodzie, stała się znów, obok przedmiotu użytkowego, powszechnie przez kobiety używanym efektem zdobniczym. Wsunięta z wdziękiem w kieszonkę bluzki, sportowej sukienki czy żakietu kostiumu, przeżywa swój powrotny renesans.

H. Markiewiczowa.



Rok 1946/47 — renesans chustki jako efektu zdobniczego. Noszą ją dziś niemal wszystkie kobiety.

Angielskie zmartwienia

(Dokończenie ze strony 2)

grecki Filip. Wciąż w sprawozdaniach z balów, premier i innych uroczystości obok wzmianek o księżniczce, pojawia się nazwisko księcia greckiego. I coraz bardziej roznamiętnia się spór czy wolno jej wyjść za mąż czy też nie. To, co jeszcze kilka miesięcy temu było tylko problemem ścisłego kółka wtajemniczonych, dziś jest już na ustach wszystkich Anglików.

I tymi plotkami — bo wciąż to jeszcze są plotki tylko — bynajmniej nie zajmują się jedynie stare panny czy podlotki, ale i poważni gentlemeni, nie plotkujący świat kupiecki, zapracowani naukowcy itd. Całego tego zagadnienia, na pozór śmiesznego, nie można zbyć jednak lekką ręką. Przede wszystkim dlatego, że rozprawa na ten temat „sentymentu jako instrumentu polityki" nie została jeszcze napisana a stosunku Brytyjczyków do rodziny królewskiej nie należy uważać jedynie za „śmieszne wariactwo".

„Nasz Jerzy nami nie rządzi, on króluje nam; on nie ma kompleksu władzy, jest nam tylko ojcem, nam — olbrzymiej angielskiej rodzinie" — mówią Brytyjczycy. Jeśli do tego szczęśliwym trafem król posiada cechy dobrego ojca własnej rodziny, wtedy popularność jego wzrasta. Tak jest właśnie z obecnym królem Jerzym VI. I na tym sentymentalnym uczuciu potrafią świetnie grać politycy angielscy.

Pół roku temu po raz pierwszy pojawiły się w Londynie pogłoski, iż w rodzinie królewskiej będzie ślub. „Bucking ham Palace" wydał wprawdzie jedno i drugie dementi, że o żadnych zaręczynach czy ślubie nie wiadomo. Ale dziś przyjmuje się już prawie na pewno, że plotka się sprawdzi i że wybranym, któremu wobec piętrzących się przeszkód, księżniczka Elżbieta wzorem królowej Wiktorii może sama postawi pytanie: „Czy chcesz się ze mną ożenić" jest właśnie książę Filip. Podobno nawet zainteresowani tj. Elżbieta i Filip na ślubie córki Mountbattena dali do zrozumienia, że następnym wielkim weselem, będzie właśnie ich wesele.

Kim jest książę Filip? Według opinii kobiet jest bardzo przystojny, sympatyczny, o miłym wyrazie twarzy i marzących oczach. Poza tym jest barczystym blondynem. Ma on w tej chwili lat 25. Większą część swego życia spędził w Wielkiej Brytanii. Mówi po angielsku lepiej niż po grecku. Posiada stopień porucznika marynarki królewskiej i uchodzi za wcale zdolnego oficera floty. brał udział w ostatniej wojnie światowej jako członek załogi okrętu wojennego „Ramillies", uczestniczył w inwazji na Sycylię i był obecny przy kapitulacji Japonii.

Czy dojdzie do ślubu? Jakie będą tego polityczne następstwa? Jakie konsekwencje wynikną dla Elżbiety? Czy będzie musiała zrezygnować z praw do tronu? — Tego rodzaju pytania, jak już powiedziano, bardziej pasjonują Anglików, niż bomba atomowa, czy traktat z Niemcami.

Wszyscy pamiętają sensacyjną historię z księciem Walii i panią Simpson, który wyżej postawił miłość aniżeli tron.

Ślub członka rodziny królewskiej, a więc w tym wypadku księżniczki Elżbiety zależny jest nie tylko od woli swojej i swej rodziny, ale też i od woli rządów Anglii, Kanady, Południowej Afryki, Australii i Nowej Zelandii.

W roku 1772 bowiem należący do rodziny królewskiej książę Cumberlandu ożenił się morganatycznie z panną Horton, a książę Gloucester ożenił się z lady Waldegrave. Wydano wtedy ustawę „Royal marriage act" (królewskie prawo małżeńskie), według której członek rodziny królewskiej może zawrzeć ślub tylko za zgodą panującego króla, po uprzednim porozumieniu się ze swym rządem. Król Wielkiej Brytanii jest równocześnie królem Kanady, królem południowej Afryki, królem Australii i Nowej Zelandii. Król, chcąc się zgodzić na ślub swej córki, musi zasięgnąć zgody tych wszystkich czterech rządów, co w konsekwencji sprowadza się do zasięgnięcia opinii parlamentów wymienionych krajów i dominiów angielskich.

Premier Kanady — Mackenzie King, premier Południowej Afryki — Smuts, jak również premierzy Australii i Nowej Zelandii — Chifley i Fraser, no i last but not least, premier Attlee, wyrazili podobno już swą zgodę na ślub Elżbiety z Filipem, uważając, że książę Filip jest idealnym „Prince consort" dla przyszłej królowej Wielkiej Brytanii.

W parlamentach brytyjskim i dominiów brytyjskich, pogląd na ślub księżniczki Elżbiety nie jest jeszcze skrystalizowany. Są pro i contra. Przeciwnicy ślubu wysuwają przede wszystkim argument ewentualnych zawikłań międzynarodowych, gdyż niewątpliwie grecki małżonek królewski obdarzy Grecję swoją specjalną sympatią, chociaż książę Filip już przed wojną wniósł do rządu brytyjskiego prośbę o nadanie mu obywatelstwa brytyjskiego. Nie wiadomo, jak będzie reakcja ZSRR na ślub ks. Elżbiety z księciem, którego pochodzenie i sympatie przecież ta naturalizacja nie zmieni. Z drugiej strony Anglia liczyć się musi również z reakcją Ameryki, gdzie książę Filip uważany jest za nieodpowiedni pochodzeniem na małżonka przyszłej królowej Wielkiej Brytanii.

Nie wiadomo, jaki będzie w tej sprawie stosunek innych państw, gdyż w układzie politycznym świata i te rzeczy trzeba brać pod uwagę. Według szeregu danych w Stanach Zjednoczonych książę Filip nie jest tam specjalnie dobrze widziany. Zanim więc dojdzie do małżeństwa może jeszcze powstać szereg nieprzewidzianych trudności. Chyba, że Elżbieta i Filip wszystkie te wątpliwości rozwiążą za jednym zamachem, tj. bez czyjejkolwiek zgody: króla, rodziny oraz rządów i wezmą po prostu ślub, czego im nikt nie może odmówić. Tylko że wtedy Elżbieta utraci prawo do tronu.

Jan Rakoczy.

Diamenty we mgle tajemnicy



Jeden z największych kamieni szlachetnych, akwamaryn 125.000 karatowy, przewieziony został do Nowego Jorku, gdzie pocięto go i oszlifowano. Właścicielka kamienia ma na palcu, dla porównania, wielkości, pierścień z akwamarynem 90-cio karatowym.

Od czasu do czasu czytamy w prasie o odkryciu nowych pól diamentowych. Były chwile, że czytało się o tym tak wiele, iż nawet starym doświadczonym handlarzom diamentów brakowało tchu.

— Czy ta nagle zwiększona podaż kamieni — pytała ich zaniepokojona podświadomość — nie doprowadzi do spadku wartości diamentów? Rozsądek podszeptywał im jednakże zawsze słówko „De Beer".

„De Beer", to wielki koncern surowych diamentów, pilnie strzegący, aby nigdy na rynku nie zabrakło „surowca", ale też żeby go nie było za dużo. W jaki sposób udawało mu się to dotychczas — to właśnie jego tajemnica!

Drugą tajemnicą jest: gdzie właściwie podziewają się diamenty? Jak to jest możliwe, że od wieków, rok w rok, co raz to nowe kamienie wchodzą na rynek, a nie zdołano dotąd nimi zaspokoić zapotrzebowania świata.

Prawdopodobnie na przestrzeni wieków zdobywano dla diamentów co raz to nowe sfery zainteresowanych. Ten nowy układ nabywców odbywa się przeważnie niepostrzeżenie, a tylko w bardzo ożywionych okresach zatacza wyraźne kręgi. Wystarczy pomyśleć tylko jakie masy diamentów oferowała na przykład po upadku caratu rosyjska szlachta na emigracji. Świat pochłaniał je kilami, cetnarami. Gdzieś na świecie siedzą kobiety przed swymi szkatułkami — dziś, tak jak wiele lat temu — i podziwiają przepych kamieni... Chętnie pozwoliłyby, żeby i inni mogli je podziwiać, ale niewątpliwie istnieje do tego za mało sposobności, a poza tym — czyż nie należy być ostrożnym?

Tak więc spoza tajemnicy otaczającej miejsce pobytu diamentów wyłania się druga tajemnica, dlaczego ten błyszczący kawałek kamienia tak bardzo podoba się kobietom.

WĘDROWNI I UMARLI SZLIFIERZE DIAMENTÓW

Diamenty nieoszlifowane są dzisiaj surowcem, którego jest pod dostatkiem. Inaczej przedstawia się sprawa sił roboczych w fachu szlifierskim. W ciągu jednego dnia nie można zostać szlifierzem diamentów. Prawdziwymi fachowcami w tej dziedzinie mogą się stać tylko ludzie, którzy od wczesnej młodośc poświęcili się temu zawodowi. Dla głównych ośrodków szlifierskich — Amsterdamu i Antwerpii — wojna była wielkim upustem krwi. W okresie przedwojennym, poprzedzającym kryzys było w Amsterdamie 7000 wykwalifikowanych szlifierzy, następnie w okresie zastoju wielu z nich przeszło do innych zawodów, a potem w czasie lepszej koniunktury, bezpośrednio przed wojną było ich jeszcze 3.000. Dzisiaj liczba ta zmalała do 1100. Resztę pochłonęła wojna.

Wykształcenie nowych fachowców trwa bardzo długo. Czy wielkie miasta diamentów stracą przez to swą sławę? — Tak by wyglądało. Znalazł się bowiem nowy konkurent, o którym przed kilku laty nikt nie myślał. Jest nim Palestyna, gdzie 4000 szlifierzy diamentów, stworzyło nowy ośrodek przemysłowy, chociaż obecnie, przemysł ten przechodzi kryzys i szlifierze palestyńscy pracują tylko przez 14 dni w miesiącu.

ZAHAMOWANIE HANDLU LEGALNEGO I ROZKWIT CZARNEGO RYNKU

Żaden towar poza złotem nie posiada takiej wartości gotówkowej, jak diamenty. Miliony podróżujących po świecie strzegą diamentów jako rzeczy najcenniejszych. W niektórych ubogich w dewizy krajach europejskich, handel diamentami jest zupełnie skrępowany. Na giełdzie diamentowej w Amsterdamie panuje zastój. Na import diamentów trzeba posiadać specjalne zezwolenie. Przepis ten obowiązuje również, gdy chodzi o obróbkę kamieni.

W tych dziedzinach, w których trzeba w Europie zezwoleń, istnieje naturalnie czarny rynek. W Holandii są ludzie, posiadający duże „lewe" dochody, które zapewniają im nielegalny handel diamentami. Dla zysku biorą za diamenty podwójną cenę, lecz za to transakcji takich nigdzie się nie rejestruje i nikt nie wie skąd pochodzą pieniądze.

WIELKA GRABIEŻ

Umarli nie potrzebują diamentów! Takie mniej więcej było stanowisko Niemców, którzy skonfiskowali wartościowe kamienie w ośrodkach diamentowych Europy zachodniej, według zapewnień robili to dla „zabezpieczenia" przed uszkodzeniem w czasie niszczycielskich nalotów. Te „zabezpieczone" przez Niemców diamenty nie odnalazły się jednak do dnia dzisiejszego. W jednym wypadku zdawało się, że już natrafiono na ich ślad. We Frankfurcie nad Menem miał być podobno cały skarbiec diamentów. Ale kupiec holenderski, który pertraktował w tej sprawie wrócił nie załatwiwszy niczego. Amerykanie nie dali mu żadnych wyjaśnień. Na giełdzie diamentowej w Amsterdamie, żyjącej wspomnieniami i nadzieją lepszych czasów krążą pogłoski, że diamenty znalezione we Frankfurcie znajdują się jeszcze w kopertach, na których widnieją nazwiska ich właścicieli. Dzięki znanej niemieckiej dokładności, która tak świetnie zorganizowała tę grabież. Inna rzecz, że nazwiska na kopertach nie miałyby już żadnego znaczenia, gdyż są to nazwiska ludzi zmarłych, nie potrzebujących już diamentów.

PRZYSZŁOŚĆ DIAMENTÓW

Stary szlifierz diamentów w Amsterdamie, patrzący na kamienie przez szkło powiększające, który nie wie czy jutro straci pracę, czy też będzie może musiał pracować w godzinach nadliczbowych, a w następnym tygodniu pobierać zapomogę, widział już wiele zmian, które się nie przyjęły, wierzy w przyszłość błyszczących kamieni i zachowuje spokój. Uważa, że zawsze znajdą się ludzie, rozumiejący czym jest diament i umiejący osądzić subtelność, niezwykłości i specyficzne piękno artystycznie szlifowanego diamentu. Zresztą wiele w tej sprawie ma też do powiedzenia moda. Przed paru wiekami były diamenty o wiele grubsze niż dzisiaj, kiedy moda domaga się płaskich kamieni. I w tej dziedzinie nastąpiło wysubtelnienie smaku i należy podkreślić, że inicjatywa w tym kierunku wyszła ze strony publiczności. Wszystko to nastąpiło niepostrzeżenie, powoli zmieniały się formy i metody szlifu, ludzie wymagali nowych modeli, świeżo upieczeni, młodzi małżonkowie poszukiwali wciąż nowych, błyszczących kamieni i zawsze spotkać można było młode i starsze kobiety, wpatrujące się z zachwytem w diamenty.

W Amsterdamie na giełdzie diamentowej ludzie nie denerwują się wcale nagłą zniżką wartości diamentów. Tak często przeżywali już tego rodzaju zmiany, a diamenty nie straciły na swej wartości. Jak długo istnieć będą kobiety, zachwycające się ich blaskiem i mężczyźni chcący sprawić radość swym żonom, przyszłość diamentów jest zapewniona.

Wędrujące bieguny

Wszystko się zmienia. Nawet oś ziemska przyjmuje coraz to inne położenie. Arktyka i Antarktyda to krainy, które na czas pewien tylko anektują lądy i morza, leżące w okolicach chwilowych biegunów ziemskich.

Istnieją dane, że w pewnym okresie biegun południowy znajdował się w okolicach Madagaskaru, zaś równik otaczał ziemię prawie jak obecny południk, przechodzący przez środek Atlantyku i Oceanu Spokojnego. Z tego właśnie okresu pochodzą złoża węgla w okolicach bieguna północnego, gdyż wówczas te okolice miały klimat gorący i pokryte były bujną roślinnością. Tymczasem obecna Afryka równikowa stanowiła krainę białej śmierci.

Konsekwencje takiego przesunięcia biegunów nie są bynajmniej jedynie natury klimatycznej. Poza określoną różnicą promienia ziemskiego na biegunie i równiku, występuje jeszcze dodatkowe spiętrzenie się wody w pasie równikowym, gdyż poddaje się ona łatwiej działaniu siły odśrodkowej obrotu ziemi, aniżeli skaliste podłoże. Wskutek tego, w tych okolicach morze osiąga wyższy poziom i wiele wysp i lądów tonie pod wodą.

Wraz z przesuwaniem się równika coraz to nowe lądy ulegają zalaniu, a zatopione poprzednio wynurzają się z morza.

Jakie są w ogóle przyczyny wędrówki osi ziemskiej?

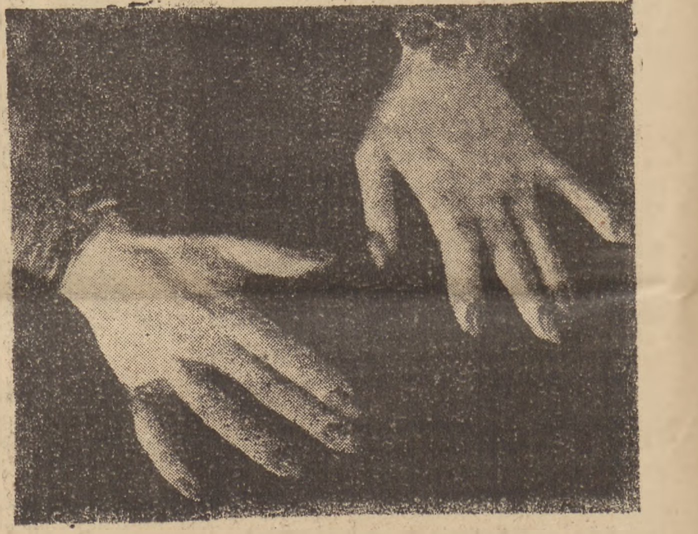
Nie ulega wątpliwości, że powodów jest wiele i proces ten jest bardzo zawiły i skomplikowany. Jednym z poważniejszych powodów przesuwania się biegunów jest wędrówka kontynentów. Zmiana osi obrotu jest wyrównaniem zakłócenia równowagi w rozkładzie masy obracającej się kuli ziemskiej.

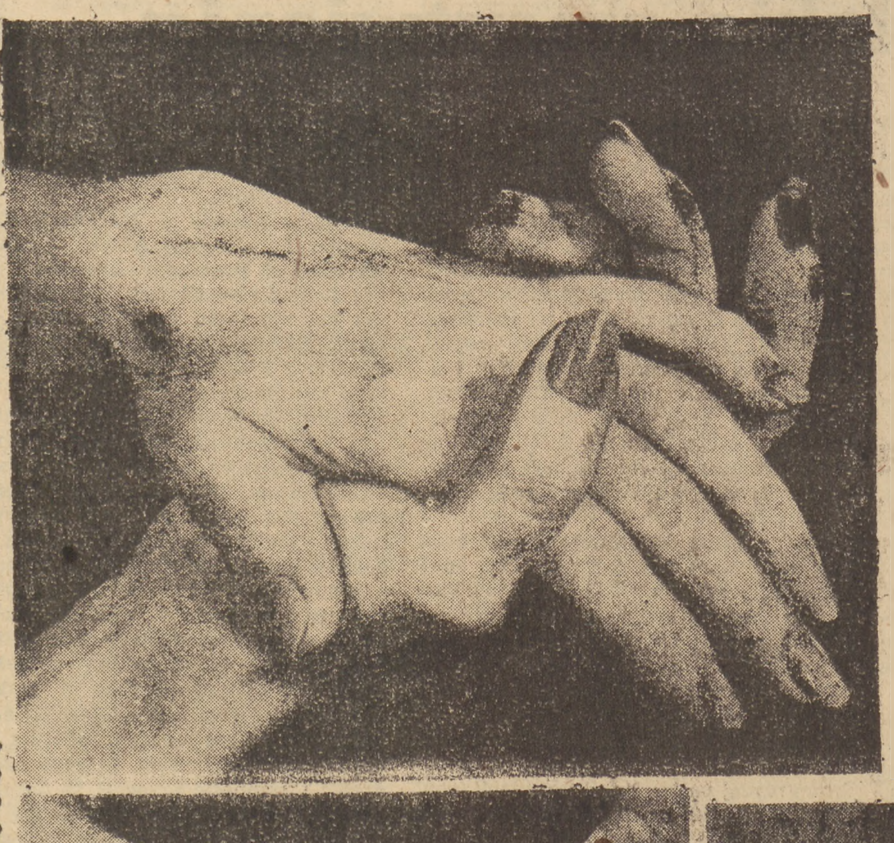
Widzimy więc, że solidny „glob" okazuje się równie mało konserwatywny jak i jego mieszkańcy.

Wymowa rąk

Pani Sandra, znana konferansjerka hollywoodskiej kolonii filmowej, często wprowadza krąg swych znajomych w zdumienie swą sztuką odgadywania charakteru człowieka z układu rąk, kształtu palców i paznokci Twierdzi ona, że ze sposobu trzymania rąk, z pozycji palców spoczywającej swobodnie ręki, koloru naskórka i t. d. potrafi bez trudności odgadnąć charakter człowieka. P. Sandra jest zdania, że z samego sposobu układania rąk przy stole, można dużo dowiedzieć się o charakterze danego osobnika.

Lekkie oparcie rąk o stół wskazuje na subtelne usposobienie. Ludzie skryci, czy też nerwowi, siedząc przy stole opierają zazwyczaj ręcę o jego krawędź. Eenergiczne położenie rąk z równoczesnym mimowolnym wysunęciem ich wprzód, wskazuje na charakter ambitny i otwarty. Zwyczaj zaciskania rąk mówi o wybujałej indywidualności osobnika.





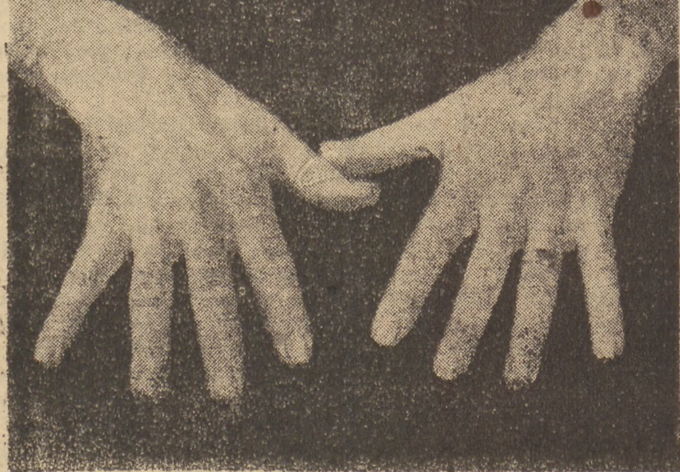
Przedstawicielką tego ostatniego typu jest znana gwiazda filmowa, Joan Crawford (zdjęcie środkowe największe). Według opinii p. Sandra ukształtowanie kciuka utalentowanej artystki zdradza, że Crawford jest charakterem szczerym, otwartym, zdecydowanym, zaś układ jej rąk wskazuje na upartość i wytrwałość.

Ręce Waltera Disney'a (zdjęcie dolne, z lewej), twórcy znanej ogólnie Mickey Mouse, zdradzają geniusza. Palec wskazujący, nieco krótszy od normalnych, oraz silnie rozwinięty palec mały, wskazują na dobrze rozwinięte zdolności analityczne.

Zdaniem chiromantki najbardziej charakterystyczne są ręce Greer Garson (zdjęcie górne), znanej aktorki filmowej. Podczas gdy prawa ręka odsłania osobiste cechy charakteru, ręka lewa zdradza wielkie zdolności artystyczne. Silnie rozwinięte kciuki i palce średnie oznaczaje stanowczość.

Ręce znanej aktorki amerykańskiej Ayn Rand (na dole z prawej), o stosunkowo grubych i silnych palcach wskazują na stanowczość, a krótki jej kciuk zdradza silną wolę.

(„Cosmopolitan")





Rozrywki umysłowe

1. SZARADA

(uł. Sęp)

Nie będzie to dziesięć-jednaście-trzynaście,
bom nie ksiądz, który błędy **siedem-cztery- dziesięć**,
chcę wam tylko dać radę (więc się nie obraźcie) —
jak **pięć-trzynaście** i przyjemnie w mieście
spędzić niedzielny wieczór, bez „górala" w kiesie.
— Otóż, gdy trzy-**dwa sześć siódmy** obiad głód twój
zaspokoi, — łyk mocnej **dziesięć siódmej**
(nieduża **raz jednasta) raz dwa** ci bystrości.
Potem drzwi zawrzyj przed natręctwem gości,
którym często jedynie o **dwa-trzeci** chodzi
i choć **czternaście dziewięć** za nim wielu (zgroza nawet młodzi)
wiedz, że nie każdy wsparcia dziś **czternaście osiem.**
Gdy płyty **dwunasto-dziewięć-dziesiątego** w błocie
utoną — albo próg ci zasypie śnieg ogromnym wałem
siedź w zaciszu domowym i weź w rękę **„cały"!**

2. KONIKÓWKA

(uł. Z. Hryniewiecki)

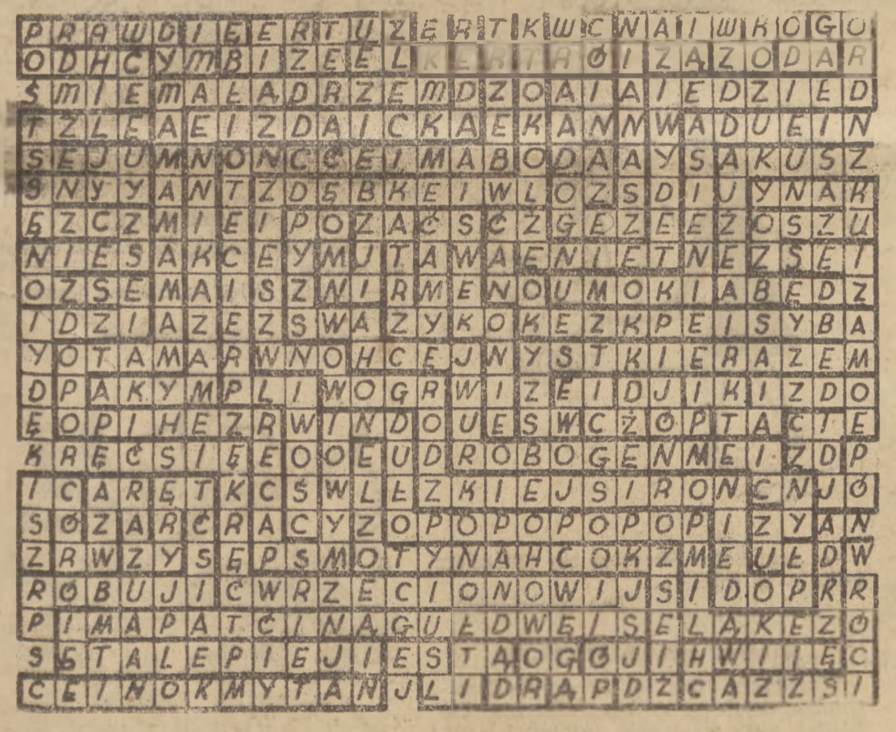
Ruchem konika szachowego należy odczytać urywek wiersza jednego z naszych wieszczów, podać jego imię i nazwisko i wskazać z jakiego utworu zaczerpnięty został urywek.

BI		JEJ	MIĘT		I	ZA		KOJ
TWO		JEST	SÓW		NEJ	SPO		TA
HY	GŁĘ	W	BU	NA	LO	PIA	NE,	CE
LI!	TEK	DRA	ZŁYCH	W	RZY,	SER	NY	W
PA		MYŚ	CO		RÓD	NIEM		GDY
O		MIĄ	POŚ		SPI	A		SZPO

3. TROPY W DŻUNGLI

(uł. Janina G.)

Dżungla afrykańska jest pełna mylnych tropów. Należy znaleźć właściwy ślad i przeszedłszy **całą dżunglę** — odczytać sens leśnego zdarzenia.



4. KRZYŻÓWKA SZKIELETOWA

Sposób rozwiązania Krzyżówki Szkieletowej:

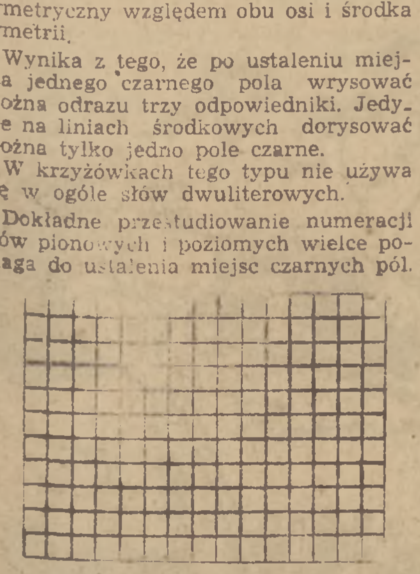
Krzyżówkę rozwiązuje się w ten sam sposób, jak i inne z tą różnicą, że czarne pola mają być również wypełnione przez rozwiązującego narówni ze słowami.

Po odgadnięciu i wpisaniu słowa należy umieścić za nim czarne pole (a czasem i przed nim) oraz odpowiednie czarne pole w innych częściach krzyżówki tak, by otrzymać rysunek ściśle symetryczny względem obu osi i środka symetrii.

Wynika z tego, że po ustaleniu miejsca jednego czarnego pola wrysować można odrazu trzy odpowiedniki. Jedynie na liniach środkowych dorysować można tylko jedno pole czarne.

W krzyżówkach tego typu nie używa się w ogóle słów dwuliterowych.

Dokładne przestudiowanie numeracji słów pionowych i poziomych wielce pomaga do ustalenia miejsc czarnych pól.



Znaczenie słów:

Poziomo: 1. utwór A. Mickiewicza (wspak), 6 robota, 9. dysharmonia, kocia muzyka, 10. pierwiastek chemiczny (o cięż. at. 88;9), 11. prawy dopływ Wołgi, 13. żona Urana, 14. szmer papieru, 16. roślina strączkowa, 17. lód płynący, 19. wykonawca wyroków, 20. stolica państwa Południowo - Amerykańskiego (skrót), 23. rodzaj antylopy, 25. konieczność, 27. litera grecka, 30. kanton w Szwajcarii, 31. jedna z inkarnacji Wisznu. 32. córka Urana — „matka bogów", 33. rzeka w Polsce, 35. miejscowość kuracyjna w Belgii, 37. jedna z wielkich części Oceanii, 38. żyjątko morskie, należące do typu jamochłonnych o ciele galarowatym i wielu ramionach, otaczających otwór ustny, 39. cenny zabytek.

Pionowo: 1. Proso podzwrotnikowe, 2. część sztuki teatralnej, 3. rodzaj sztuki scenicznej, 4. zamknięcie butelki, 5. poemat czterostrofowy o 14-tu wierszach, 6. apostoł, 7. skorupiak, 8. najprostrzy organizm jednokomórkowy, 10. wół tybetański, 12. miasto w Finlandii, 15. skład starych rzeczy, 18. panika na giełdzie, 21. monogram Chrystusa, 22. sufit, 23. wódka angielska, 24. wrzątek, 25. rodzaj dywanu, 26. trzynaście lew w bridge'u, 27. wściekłość, 28. gniew w języku martwym, 29 cudotwórca żydowski, 34. przedrostek zapożyczony z języka greckiego, oznaczający „przy, na, nad, aż do", 36. bożek grecki pasterzy, i trzód.

5. ZADANIE MATEMATYCZNE

(uł. E. Matwiejczuk)

1. **Suma sumy dwóch wszystkim znanych** historycznych dat oraz ich różnicy wynosi 3726. Wymienić daty. Daty składają się z tych samych cyfr.

2. Liczba ABCDEFGH pomnożona przez IA = HHHHHHHHH. Wymienić iloczyn, mnożnik i mnożną.

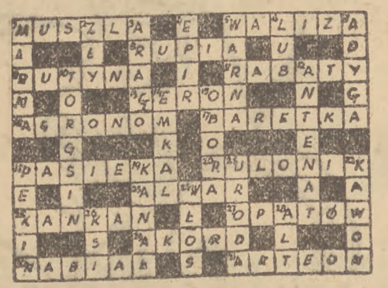
* * *

Za rozwiązanie powyższych zadań, nadesłane w terminie do dnia 15 lutego Redakcja przeznacza do rozlosowania trzy nagrody książkowe.

Rozwiązanie zadań z nr 2

1. **Rebus.** Młodzież staje do wyścigu pracy dla szybkiej odbudowy Polski.

2. **Krzyżówka szkieletowa.**



3. **Logogryf sylabowy.**

Uczysz się i bawisz wyśmienicie,
Kiedy czytasz „Świat i Życie".

Słowa pomocnicze: ubogi, czuwasze, zakamarek, yaki, Sukiennice, zajazd subtelny, indagować, ęgeusz, Ignacy, birbant, aerologia, wiarus, Ibanez, struś, Złoczew, Wiechecki, Yokohama, świergot, Makuszyński, Irokez, emblematy, nosorożec, Idzikowski, Chojnice.

4. **Łamigłówka-pajęczynka.** 1. rozwój, 2. antena, 3. daktyl, 4. ironia, 5. oberek, 6. furman, 7. obrzęd, 8. nimbus, 9. intruz, 10. Zawrat, 11. andrus, 12. cebula, 13. jamnik, 14. adwent, 15. kwadra, 16. riksza, 17. Argony, 18. jogurt, 19. Urania. Rozwiązanie ostateczne: radiofonizacja kraju.

5. **Marysia.** W zeszłym roku Marysia miała trzy lata.

Zakładając X — wiek Marysi
Y + Z — suma lat rodzeństwa,

w zeszłym roku $\frac{X}{72} = \frac{Y+Z}{280}$

w tym roku $\frac{X+1}{80} = \frac{X+2+2}{280}$

Stąd $X = 3$.

Dobre rozwiązania z Nr. 2 w terminie nadesłali:

Bielsko: A. Pręczkowska, L. Siemieński, J. Moskała, **Częstochowa:** Z. Przesłański, **Jarosław:** Bolesław Nowosad, **Katowice:** Z. Czaplicki, A. Łoboda, J. Wituski, **Paczków:** S. Cichowski, **Rzeszów:** Z. Kołodziej, **Wrocław:** E. Jeżewska, **Zawiercie:** G. Różyńska.

W wyniku losowania nagrody otrzymali:

1. L. Siemieński, Bielsko — „Drewniany koń" K. Brandysa,
2. S. Cichowski, Paczków — „Znasz li ten kraj" Boy-Żeleńskiego,
3. Mgr. Z. Kołodziej, Rzeszów — „Ludzie stamtąd" — Marii Dąbrowskiej.

Nagrody wysyłamy pocztą..

Odpowiedzi Redakcji

T. Kubiczek. Zadania świetne i trudne. Grzebykowy za trudny. Proszę odebrać. Za ostro Pan przyjął poprzednią odpowiedź. Dążymy do nawiązanai kontaktów z naszymi czytelnikami, ale nie rozporządzamy odpowiednią ilością miejsca w Dodatku. Lapidarny styl czasem wprowadza rozdrażnienia. **B. Tomaszewski.** Bardzo dziękujemy za serdeczny list. Życzymy więcej czasu. **A. Rafińska.** Zapóźno otrzymaliśmy rysunek dancingu, by móc go wykorzystać. Słowa pomocnicze lepiej zawsze podawać. **J. Szpryngier.** Krzyżówka nie pójdzie. **E. Żerebecki.** Niektóre zamieścimy. **J. Czajkowska, B. Razumowski.** Otrzymaliśmy i wkładamy do zbiorów, Zamieścimy później. **G. Różyńska.** Redakcja zastrzega sobie prawo do wyegzekwowania obietnicy.

Czytelnicy piszą...

6. **Protagoras i jego uczeń.** Zadanie jest wyjęte z podręcznika logiki, podawane tam jako jeden z przykładów t. zw. „błędnego koła". Jednak — to właśnie „błędne koło" rozwiązanie posiada, ale nie na pierwszej rozprawie.

Na rozprawie pierwszej sędzia odrzuci skargę, ponieważ nie spełnione są warunki umowy.

Wtedy należy wnieść drugą skargę, stwierdzając, że warunki umowy są spełnione, bo pierwszy proces uczeń wygrał. Sąd wówczas wyda wyrok nakazujący zapłatę, błędne koło się skończy, a uczeń będzie musiał płacić na mocy umowy i na mocy wyroku sądowego.

Oczywiście — dzisiejszy sąd — kierowałby się może t. zw. „względami słuszności" i już na pierwszej rozprawie umowę unieważniając nakazał zapłatę według norm obowiązujących powszechnie, ale sąd ówczesny, dla którego jedyną normą prawną była umowa, musiałby wydać wyrok — jak podano wyżej.

Sarama, Bielsko

7. **Wygrał uczeń, t. zn. jego przypuszczenia były trafne, gdyż jeśli wygra proces, to tym samym Protagoras jako przegrywający nic nie może otrzymać, zwłaszcza, że uczeń jako oskarżony nie może zaliczać się do „wygrywających" proces, gdyż nie występuje jako publiczny obrońca, tylko jako oskarżony. W drugim wypadku według umowy, przegrywając nic nie zapłaci, a więc Protagoras straci na tym interesie.**

Rafińska, Katowice

Przeczytajcie dzieciom...

WŁADYSŁAWA PASZKOWSKA

Bądź dobry

Bądź dobry! Bądź dobry! To przecież niewiele!
Tak łatwo się chlebem z drugimi podzielić,
tak łatwo rzec słowo życzliwej pociechy,
co w sercu radosnym odezwie się echem.
Bądź dobry! To przecież potrafi i Hanka,
i figlarz Franeczek, i Zocha i Danka,
mądrala Marylka, i Antek — mój Boże,
bo dobrym, tą każdy, tak, każdy być może.
Bądź dobry, gdy tyle jest smutków dokoła!
Niech serca zapłoną, rozjaśnią się czoła,
niech troski pierzchają, gdy w blaskach tęczowych
my sztadar wzniesiemy Czerwonokrzyżowy!
Bądź dobrym, bądź dobrym, najlepszym, gdy możesz,
a świat ci ramiona szeroko otworzy,
i uśmiech serdecznej podzięki dostaniesz,
jak stopień najlepszy za dobre zadanie!

JÓZEF BARANOWSKI

Malowany domek

Wybuduję domek
z maleńkim ogródkiem,
zasadzę, w nim klomby
róż i niezabudki.
Staś z ołówkiem w ręku
wykreśla pomiary.
Daszek dam czerwony,
ściany będą szare.
Ujął barwne kredki
i już domek gotów.
I nadobny mały
parkan z żywopłotu.
Dróżką biegnie babcia,
a za babcia kotek.
jeszcze i słoneczko
błyszczeć musi złote.
Nie mam złotej kredki,
więc wezmę czerwoną,
niechaj wam się zdaje,
że to zorze płoną.
Myślę o księżycu
i o gwiazdkach z nieba,
a tu mi okienka
i drzwi wstawić trzeba.
Dwie kreski maleńkie
i jedna pionowd,
jeszcze je podciągnąć
trochę i... gotowe.
Cóż, nie piękny domek
w zielonej murawie?
Chcecie. to wam jutro
taki sam postawię

JANINA WAZLOWA

Czarodziejska sztuka

Choć nie jestem czarownikiem,
umiem dziwną sztukę...
Do tych czarów jest potrzebna —
mąka. drożdże, cukier.
Na dodatek trochę maku,
soli, masła nieco,
czasem kilka świeżych jajek
no i... ogień w piecu.
Umiem z tego wyczarować
bułeczki rumiane,
te zwyczajne i te słodkie —
cukrem posypane.
Bieluteńkie rogaliki —
a wszystkie jednakie:
wszystkie biało lukrowane.
nadziewane makiem.
I okrągłe obwarzanki
i precelki słone
i pachnące już z daleka —
strucelki plecione.
No i to, co każdy człowiek
musi mieć codziennie:
doskonały, smaczny chlebek
jasny. albo ciemny...
Lecz nie jestem ani mędrcem,
ani czarownikiem...
Jestem sobie tylko skromnym
zwykłym — piekarczykiem.
Jeśli i ty pragniesz umieć
tę przedziwną sztukę —
przyjdź czym prędzej. nie zwlekając —
do mnie — na naukę!

Dziwne przygody Ksawerego Czułka

(Dokończenie ze strony 4-tej)

dopadłem Hali. Tymczasem halny wiatr wyorał potężne skiby śniegu i wymiótł wszystek miał sprzed szałasów w głąb lasów. Po gołym lodzie, na czworakach doczołgałem się do drzwi schroniska. Zdyszane płuca skomlały o łaskę. Na progu zemdlałem. Gdy przyszedłem do siebie, z zapuchniętymi oczyma zobaczyłem migotliwą świecę, zatroskaną twarz przyjaciela przez pół oświetloną, a na stole kotlik wrzącej herbaty.

Pierwsze myśli były leniwe. Nagłe przypomnienie zjeżyło mi włosy. Drżącymi rękami złapałem Olka i pytałem: „Gdzie on!!? Gadaj, może tu!?" — Szukałem oczyma po ciemnych zakamarkach izby. Drętwa porwał mnie w ramiona i potrząsnął silnie.

— Mów, co takiego! Powiedz, co się stało, powiedz, czy to złodziej! — złodziej? — gadaj! — krzyczał zniecierpliwiony.

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Bełkocąc, wykrztusiłem coś niecoś o tym co mnie spotkało. Widziałem jak drżały mu ręce, gdy słuchał, pilnował się jednak i nie chciał dać znać po sobie, że ulega tajemniczej sprawie.

— Teraz opowiem po krótce zakończenie tej trochę dziwnej, niewyjaśnionej sprawy. Drętwa dorzucił do pieca moc drzew i podał mi herbatę. Okrutny świst halnego przebiegał przez dziurawy dach; niczym jak teraz — i wskazał na powałę, spoza której leciał wciąż najsubtelniejszy mokry puder.

— Owinięci w koce przesiedzieliśmy do rana. Szary brzask, przywitał nas dygocących od zimna. Sine twarze wyglądały jak maski. Po śniadaniu wyszliśmy na dwór. Zwiotczały uderzenia wiatru. Miękkim nalotem płatków spływał z gór mdły podmuch.

— Patrz! — zawołał Olek.

Stanąłem jak wryty. Tuż przed nami, na odmiecionym przez wiatr lodzie, leżały narty Aleksandra Drętwy. Ślad jak diamentem wyrżnięta rysa na matowym szkle, wił się po szreni wśród tafli gipsu i sypkich wydmuchów. W milczeniu wziąłem obie deski i wbiegłem do schroniska. Zamknąwszy drzwi na kłódkę począłem szukać z browningiem w dłoni. Przetrząsnęliśmy wszystko, literalnie wszystko, każden siennik, każdą szparę, strych. Potem zrewidowałem każdy szałas — nigdzie znaku ludzkiej bytności. Nie było możliwości, by uciekł pieszo, gdyż stopa tak lekkiego człowieka jak Drętwa, przebijała szkliwo szreni i drążyła potężną dziurę. A tu ani jednego zagłębienia, ani śladu po obcasie. Po ścisłej rewizji ruszyliśmy na nartach ku Stawowi. Niezłomne postanowienie opanowała nas, dowiedzieć się. Spustoszenie nocy wszędzie widoczne. Wszystkie masy śniegu poszły w dół w lasy i kotły. Odarte ze śniegu szczyty szczerzyły czarne kły do ślepego, zdławionego przez lecące chmury słońca. W godzinę byliśmy na owym tragicznym miejscu.

Kolosalna lawina rozrzuciła się wachlarzem po stawie aż do końca wczorajszego śladu. Zeszła spod Fajek wszystkimi żlebami i złączywszy się w jeden nurt, runęła na staw. Lód spękał i woda wystąpiła na wierzch. Przyczyna wczorajszej ociężałości nóg. Zmęczeni i wyczerpani dowlekliśmy się do schroniska. Wieczorem odprowadziłem Drętwę na kolej — nie ujrzałem go już nigdy.

— Opowiedziałem wszystko. Nic nie tłumaczę, bo nic nie wiem, zresztą już późno — rzekł zmęczonym głosem — dobranoc!

— Musieliście przedtem popić dobrze? Hę? — spytał szyderczo Piotr — i prześlepiliście deski.

Zaśmiał się ten i ów, ale niezbyt szczerze. Przygodny towarzysz w milczeniu zdjął zapocone okulary i przetarł chusteczką. Ujrzałem oczy prawie ślepe — bez wyrazu i koloru. Po chwili Czułek zawinął się w koc i mruknąwszy jeszcze raz dobranoc, cichutko legł na pryczy. Zwolna ten i ów kończył wieczorne obrządki i kładł się do snu. Ciche, półgłosem prowadzone rozmowy, snuły się na tapczanie. Zabłysło jeszcze parę papierosów i po długiej chwili wszyscy udali się na spoczynek. Ktoś zdmuchnął światło.

Za cienką z okrąglaków ścianą do cna oszalała kurniawa, jak cepami łomotała w dach. Jęczały rozkołysane smreki.

— Schleli się i koniec! — mruknął Tellerbruch i poomacku zawiązał śpiwór.

Świat się śmieje

SŁABA PŁEĆ



— Gdzie pan się wybiera w podróż?

— Ja tego jeszcze nie wiem, ale powiem panu zaraz, jak tylko żona kupi b[illegible]ety...

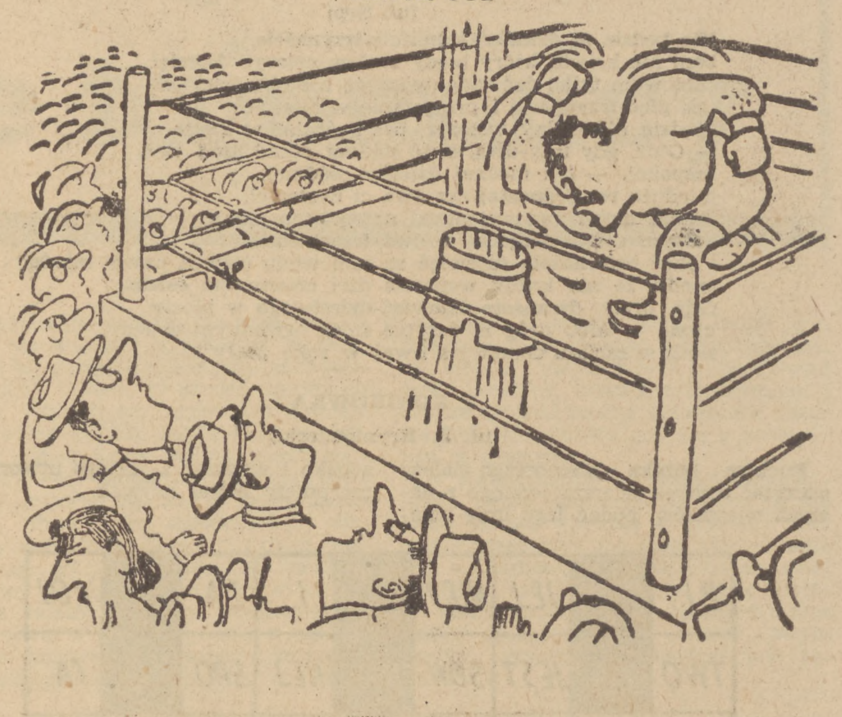
(„Paysage")

SKRUPULATNOŚĆ



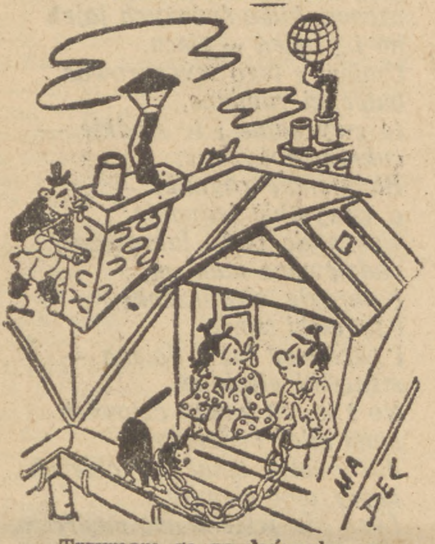
— Ja wiedziałem dokładnie, że droga jest zastawiona, ale w autobusie obok szofera wyraźnie widniał napis: „Z kierowcą nie wolno rozmawiać.

KNOCK-OUT



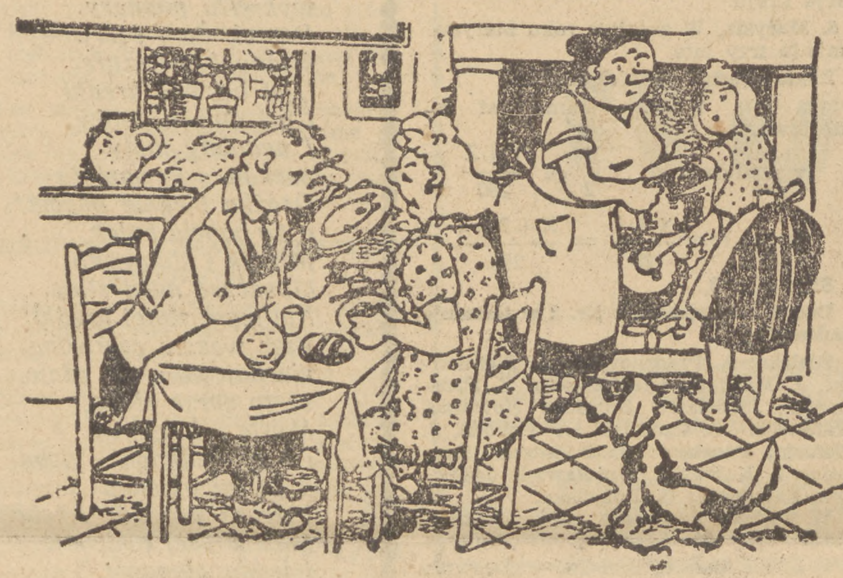
(„Collier's")

SŁUSZNA OBAWA



— Trzymam go na łańcuchu, ponieważ słyszałam, jak nasz sąsiad myśliwy ciągle do niego mówił: „Moja kochana pieczonko!" („Combat")

URZĘDNIK KRYMINALNY U SIEBIE W DOMU



— Zdaje się, że dzisiaj myła talerze mama... („La France")

AMERYKAŃSKIE DEDYKACJE

Pismo „Readers Digert" notuje następujące przykłady dedykacyj amerykańskich:

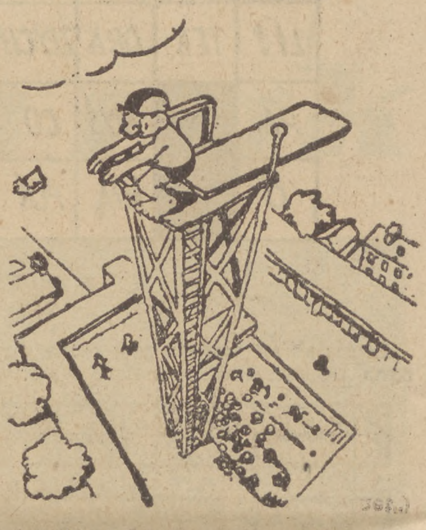
Na pierścionku, który Paul Lukas ofiarował swej żonie Daisy w szesnastą rocznicę ich ślubu, wyryte zostały następujące słowa:

„Za zasługi, sięgające daleko poza granice obowiązku".

Rosemary i Stephen Vincent Benet zadedykowali wspólnie napisaną książkę „A Book of American" swoim dzieciom następująco:

„Stefanii, Tomaszowi i Racheli, owocom naszej i innej współpracy".

NA TRAMPOLINIE



— Z tej strony jest daleko mniej ludzi. („Le Crochet")

RENDEZ-VOUS



— Ach Boże! Przecież się spóźniłam tylko o 10 minut...!

„The American")

ARYSTOKRACI

— Gdy się budzę, to zawsze dzwonię na lokaja.

— Jakto? Więc hrabia ma jeszcze lokaja?

— Nie, ale mam dzwonek.

WAŻNA PRZYCZYNA



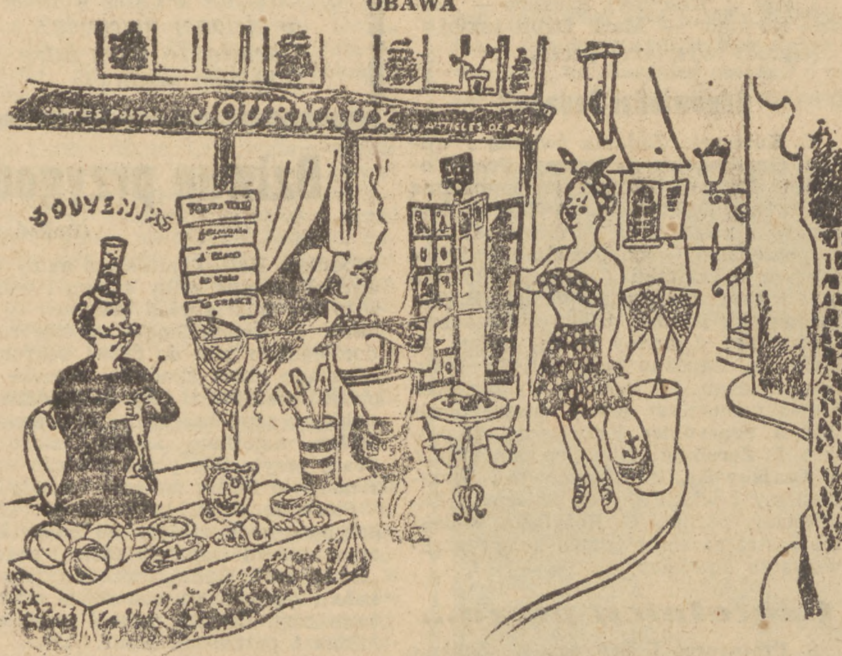
— Temu telefonowi musiało się coś stać i trzeba, aby go pan naprawił. Niech pan sobie wyobrazi, że przez całą godzinę byłam w kąpieli a on ani razu nie zadzwonił... („Collier's")

ZAUWAŻYŁ...

— Wyobraź sobie, Tadzio nie żyje! Wpadł pod samochód!

— Biedak. Rzeczywiście, zauważyłem, że w ostatnich czasach kiepsko wyglądał.

OBAWA



— Tylko nie wybieraj żadnej karty [illegible] wzburzonym morzem, bo mamusia twoja mogłaby potem umrzeć („Le Rire")

POMYŁKA...



— Niech mi pan wybaczy, ale wziąłem pana za dziką kaczkę....

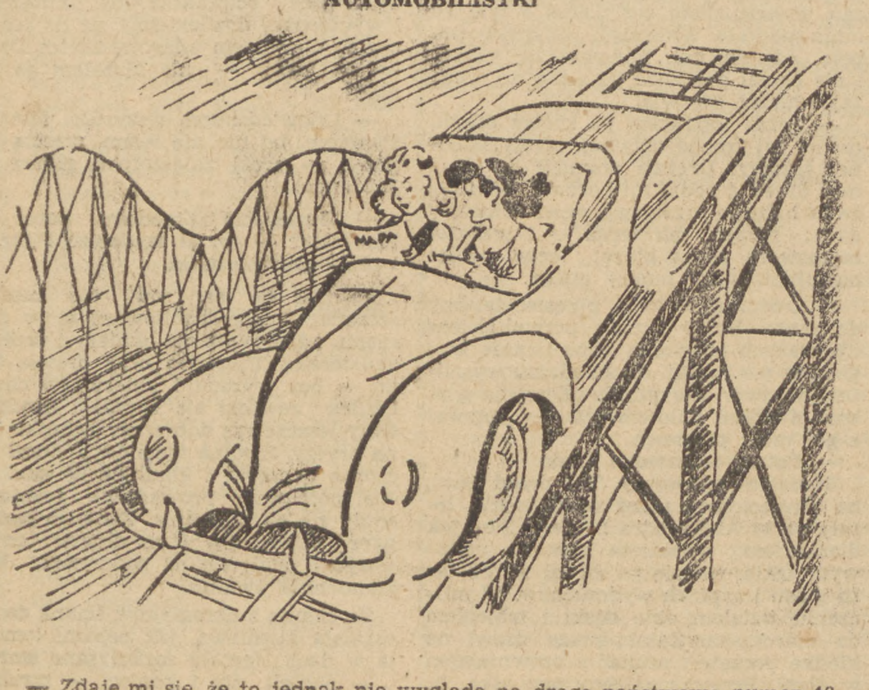
(„Carrerour")

MIŁOŚĆ NIEŚMIERTELNA

Wyglądało na to, że dziewczyną i chłopiec kochają się bezgranicznie. Tak wielką była ich miłość, że kiedy ich rozdzielono i wysłano chłopca do odległego miasta, każdego wieczoru przysyłał on depeszę z wyrazami uczucia i oddania. Codziennie w ciągu tych trzech lat ten sam młody posłaniec z Urzędu Telegraficznego pukał do drzwi dziewczyny, podając jej słowa nieśmiertelnej miłości.

I po trzech latach pobrali się — dziewczyna i posłaniec z Urzędu Telegraficznego.

AUTOMOBILISTKI



— Zdaje mi się, że to jednak nie wygląda na drogę państwową numer 46...

(„Collier's")

W RODZINIE BYCZKA

Wracając z jarmarku trzech włóczęgów natknęło się na śpiącego przy drodze kmiotka. Przy nim stał byczek, bez wątpienia kupiony na jarmarku.

— Chłopaki — rzekł jeden z nich — odwiążcie zwierzaka i zarzućcie mu powróz na kark. Zaprowadźcie go obaj na jarmark i sprzedajcie za dobrą cenę a ja już zagadam tego chłopka.

Zbudziwszy się, kmiotek, na miejscu byczka zobaczył człowieka, zanim jednak zdążył wyrazić swoje zdumienie, włóczęga rzekł:

— Proszę, ach proszę, uwolnijcie mnie. Pan widzi przecież, że naprawdę nie jestem bykiem, lecz człowiekiem. Mój ojciec jest sławnym czarownikiem, ale na nieszczęście wciąż kłóci się ze mną. Ostatnio nadużyłem jego cierpliwości i ojciec zamienił mnie w byka. Teraz musiał pożałować tego i wrócił mi moją pierwotną postać...

W godzinę później biedny kmiotek chodził znów po jarmarku, oglądając się za kupnem innego byczka. W stadninie jakiegoś kupca zauważył zwierzę, niezwykle podobne do jego własnego. Spojrzał na nie smutnie i przeszedł dalej.

— Tsss — szepnął. — Znów pokłócił się ze swoim ojcem...!

UWAGA NA CZASIE



— Panie, to trzeba było przedtem zapukać w drzewo, a nie teraz...

(„Tour à Tour")